N. 52. WARSZAWA d. 16 (28) Grudnia ROKU 1872.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. O pismach dla dzieci i dla ludu.— Góralka (wiersz).— —Depozyt powieść przez Walerją Marrené.—Korespondencja ze Lwowa.—Zabawki i gry towarzyskie dla dzieci. Wiadomości z nauk przyrodniczych—OdRedakcji.— John Scrooge powiastka na Boże Narodzenie przez Karola Dickens'a.—Przytem dodatek z drzeworytami.

O PISMACH

DLA DZIECI I DLA LUDU.

Pomimo dość częstego zaprzątania się prasy perjodycznej Przyjacielem Dzieci i Zorzą dla ludu wiejskiego i miejskiego wydawaną, pojęcie jednak sposobu ich redagowania nie jest należycie wyjaśnione. Brak ten szczególniej widocznym się okazuje w ocenach krytycznych drukiem ogłaszanych. Powiadają, że pisać dla dzieci i dla ludu niezmiernie trudno: prawda; ale i w osądzeniu trafnem czy rzecz źle lub dobrze napisana, we wskazaniu w czem piszący błądzi i w nauczeniu go jak pisać powinien, nie mniejsza trudność spoczywa.

Dla tego też rady praktycznej nie napotkaliśmy żadnej, a choć są żądania i domagania się, ale ani jednej istotnej wskazówki. Sądzę że względność zobopólnie powinna tu być zachowana. Na czemże jednak ta trudność polega? Czy na pięknem wysłowieniu barwiącem się kwiatami poetycznego słowa? Czy na umiejętnem moralizowaniu i wyjaśnianiu wszystkiego naukową rozprawą?

Nie! bo pisarzy piękną władających formą, moralizujących i posiadających zbiór potrzebnych wiadomości naukowych, mamy dosyć, gdyby więc tylko te warunki były konieczne, toby każdy pierwszy lepszy mógł się przerzucać według własnej woli, z pracy dla osób wykształconych, do pracy dla maluczkich i prostaczków, a przecież żaden tego nie robi. Zaproszony zaś do wspólpracownictwa wręcz odpowiada, że pisać dla ludu lub dzieci nie umie, dodając jako usprawiedliwienie, iż do tego potrzeba oddzielnego talentu.

Tak jest rzeczywiście, a przedewszystkiem szczególnej prostoty słowa, jasności w wysłowieniu i umiejętności prowadzenia opowiadania tak, aby ciekawość w czytelniku ciągle drażniona, utrzymywała w nim zajęcie i tym sposobem przywiązywała do książki. Przypadki Robinsona a nawet ów tak osławiony Rynaldo Rynaldyni, na zawsze podobno wzorem dla prac tego rodzaju pozostaną.

Prostota w nich jest tak wielką, że zdaje się nawet nie być żadną trudnością, jasność nie zostawia nic zaciemnionego, niewyraźnego, a zajęcie takie wielkie obudzają, że się od czytania ich trudno oderwać...

Rynaldyni jedynie ze względu zbytniego drażnienia imaginacyi w niebezpiecznym kierunku, niższej jest wartości; nie jest jednak pozbawionym moralnej dążności, przedstawionej w zgryzocie sumienia ciągle trapiącej głównego bohatera. W Robinsonie za to moralność w całem przebija się opowiadaniu, choć autor tylko kiedy niekiedy jej dotyka, ale wypadki tak układa, tak umiejętnie je przedstawia jako następstwa próżniactwa, nieposłuszeństwa, braku chęci do nauki i innych zdrożności młodego wieku, że czytający choć nie ma ich wskazywanych, widzi je jednak wyraźnie, ubolewa nad biednym rozbitkiem, czuje jego smutną dolę i nabiera wstrętu do wad co się stały przyczyną jego nieszczęścia.

Powieść więc i dramatyzowanie każdego opowiadania przeważne tu powinny zająć miejsce; trzymać się ich koniecznie należy, tylko pilnować aby odpowiadały swemu przeznaczeniu, to jest bawiły i niosły moralny pożytek. Prostota zaś z kwiecistością wprost sobie są przeciwne; prostota wyjaśnia i pociąga, kwiecistość zaciemnia i nuży, prostota uczy jasno myśleć i unikać szastania słowami bezpotrzebnie; kwiecistość przyzwyczaja do wielomóstwa w którem słów wiele a rzeczy mało. Kwiecistości w wysłowieniu i w piśmie, dziecię nauczy się w późniejszym wieku, do prostoty słowa i jasnego wyrażania powinno się przyzwyczajać od dzieciństwa. Wreszcie prostota nie jest brutalnością, powinna nawet posiadać wdzięk wysłowienia, ale daleki od poetycznego słowa, tak ponętnego w utworach dla starszych przeznaczonych.

Żądają także niektórzy w pismach dla dzieci i ludu, systematycznego przeprowadzania pewnych nauk i to błąd na fałszywej oparty teoryi.

Nauka każda jeżeli ma być ściśle wyłożoną, musi być suchą, a to ani dziecka ani człowieka z ludu nie zachęci do czytania. Gdyby zaś chciano nadać jej ormę więcej ponęt ną, coś o dramatyczność potrącającą, wykład musiałby być niezmiernie obszerny, ciągnący się w piśmie przez lat nawet parę jeżeli nie kilka. Jakżeż tu utrzymać związek w wykładzie, jak go tu poprowadzić, żeby czytający miał zawsze w pamięci to co przeczytał, i tym sposobem zajął się chętnie tem, co mu znów do przeczytania podano? Wreszcie nie zapominajmy, że pisma podobne mają stanowić umysłową po pracy rozrywkę, i że powinny być brane w rękę przez właściwych sobie czytelników nie z namowy, nie z nakazu, ale z własnéj woli. Jeżeli nie wyrobią sobie takiego stanowiska, na nic się nie zdały; cóż z tego, że je starsi będą chwalić, jeżeli lud i dzieci nawet spojrzeć na nie nie zechcą. Wydawnictwa np. Forstera są piękne i nauczające, każdą rozprawkę, każdą myśl w nich znajdującą się, warto złotemi wydrukować literami, ale tak są nudne, że zupełnie przez lud nie są czytane A szkoda! najlepsze chęci wniwecz poszły i idą, jedynie z braku wskazówek jak powinny być zużytkowane....

Domagają się także niektórzy, illustracyi obrazującéj nie ludy mało znane, ale przedstawiające miejscowości świata już ucywilizowanego, nie zwróciwszy na to uwagi, że cywilizacya zbliżając ludyściera z nich barwę narodowości, a miejscowościom nadaje cechy jednostajne mało wybitne, mało także zwracające na siebie uwagę dzieci i prostaczków. Dajmy im najpiękniejszy rysunek najwspanialszego gmachu w Europie, a obok postawmy chatę dzikiego Afrykańczyka, z pewnością pierwszeństwo jéj oddadzą przy oglądaniu. Inni znów pragną ko-

niecznie, szczególnéj wytworności w illustracyi, zapominając, że pisma dla dzieci lub ludu przeznaczone zwykle są bardzo tanie, i żeby temu żądaniu zadość uczynić mogły, musiałyby na pokrycie samych kosztów wydawnictwa poświęcić cztery tysiące najmniéj prenumeratorów, co byt pisma uczyniłoby niemożebnem. Otóż według tych zasad powyżéj wyłożonych starając się o ile można o prostotę, jasność i zajęcie, redagowany jest Przyjaciel Dzieci. Że zaś kierunek jaki przyjął jest dobrym i praktycznym, popierają to bardzo liczne korespondencye samej dziatwy i jéj opiekunów do redakcyi nadsyłane. Są one niezmiernie nauczające, jako przedstawiające z całą naiwnością dziecęcego wieku, zdania o tem, co im się najlepiéj z przeczytanych artykułów podobało.

Co do *Zorzy*, to pisanie dla niéj jeszcze większe przedstawia trudności jak dla dzieci. *W Przyjacielu* ma się do czynienia z dziatwą już uczącą się i żyjącą w otoczeniu osób inteligentnych. Umysł jéj przez samo słuchanie rozmów osób starszych przyswaja sobie różne wiadomości, myśl zaś nauką pobudzona działa i zastanawia się, czego zaś nie pojmą, łatwiéj być mogą objaśnionemi. Lud prosty jest ciemny, żyje w ciemnicy i działanie myśli u niego jest niezmiernie leniwe. Wprawdzie zdarzają się wyjątki, ale te nie stanowią prawidła. Jakiejże więc trzeba prostoty i jasności w wysłowieniu, aby to co się mówi do niego, było należycie zrozumiane? Jakiejże trzeba umiejętności, aby rzeczą dla niego wydrukowaną zajął się, zabawił i to z pożytkiem moralnym? Pismo co spełni to zadanie stanie się arcypożytecznem, ale także powinno być tak redagowane, żeby czytanie jego lub słuchanie nie z namowy wynikało, ale z własnéj woli z przypomnieniem prośbą popartem.

Zorza od nowego roku w tym duchu ma być redagowaną, a jeżeli obarczony już ciężką pracą, przyjąłem nad nią po długim namyśle główny kierunek, to tylko w téj nadziei, że przy Waszéj pomocy przyniosę nią krajowi pewien pożytek.

Zorza ma służyć ludowi wiejskiemu i miejskiemu; któż nie jest z nim w styczności, któż nie posiada go w liczbie sług swoich domowych i folwarcznych, gdzie wreszcie miasto lub wioska, coby nie miały rzemieślników i terminatorów? Dać téj tak licznéj massie ludności pismo pożyteczne do czytania, wpłynąć na jéj umoralnienie, ocknienie myśli z ospałości, na sprostowanie błędnych pojęć i ukazać obowiązki do niéj przywiązane, jest to zadanie tak wielkiej wagi, takiéj doniosłości, że od przyłożenia się do jego spełnienia nikt się usuwać nie może i nie powinien. Wprawdzie nauka czytania mało jest upowszechnioną, ale znajdzie wielu pomiędzy ludem, szczególniéj między domownikami i rzemieślnikami, co czytać umieją. Choćby więc przy dworze wiejskim, w domu, w mieście, przy folwarku, fabryce lub warsztacie jeden tylko się taki znajdował, to już ten jeden czytaniem *Zorzy* wywrzeć potrafi wpływ zbawienny na drugich. Niech jedna poczciwa myśl utkwi w pamięci słuchaczy, niech jeden opis jaki pobudzi ich rozwagę do czynności, a w niedalekiéj przyszłości sowite na społeczność spłyną z tego pożytki. Jest to droga wolna ale pewna, jedni będą czytać drudzy słuchać czytania lub opowiadania rzeczy przeczytanéj, a obudzone zajęcie nie jednego zachęci do wyuczenia się téj umiejętności tak wielce pożądanéj.

W Petersburgu od lat dwóch zaprowadzone zostały odczyty ludowe, i w roku bieżącym od początku Maja do końca Października odbyło się ich 160, na których ogólna liczba słuchaczów wyniosła 17,250 osób, Dochód z opłaty pięcio kopiejkowéj za wejście uczynił rs. 862 kop. 50, wydatki zaś wyniosły rs. 5,420 kop. 31, do pokrycia których głównie przyczynił się p. Bazyli Naryszkin członek komisyi zajętéj urządzaniem tych odczytów. St. Peterb. Wiedom. donoszą, że komisya ta wypracowała projekt ogólnych prawideł zaprowadzenia tych odczytów w całem Cesarstwie, i że przedstawiła go już ministrowi oświecenia do zatwierdzenia. Nie podlega prawie wątpliwości, że Władza potwierdzenia tego nie odmówi, zanim więc odczyty podobne wejdą u nas w wykonanie, niech w małych kółkach domowych we wsiach i miastach, w fabrykach i przy warsztatach, *Zorza* w tym celu zostanie zużytkowaną. Czasu na to nie wiele trzeba będzie poświęcić, godzinę na tydzień aż nadto wystarczy, a wydatek na zaprenumerowanie *Zorzy* wynoszący w Warszawie kwartalnie kop. 60 a na prowincyi kop. 75 jest tak mały, że poniesienie go żadnego prawie uszczerbku w dochodach nie uczyni. Ileż jednak dobrego przynieść może całéj społeczności!

Przyjmując na siebie ten nowy a tak trudny obowiązek do spełnienia, zostałem niejako zmuszony do poddania tych uwag publicznéj rozwadze. Praca przy *Zorzy* to praca wspólna nas wszystkich. Prowadzona zjednoczonemi siłami, wspierana nabywanem doświadczeniem, gorliwością i chęcią zobopólną, musi stanąć na właściwem stanowisku i przynieść to czego wszyscy tak gorąco pragniemy: *poprawę moralności ludu*. Potrzeba pracy w tym kierunku z dniem każdym się zwiększa, a stosunek przestępstw sądami karanych, ludzi umiejących czytać, a nie posiadających téj umiejętności, rzeczywiście jest przerażający. Zrobiłem też odezwę w Przyjacielu Dzieci do młodych czytelników, namawiając ich do poświęcenia dziennie pół godziny czasu na uczenie którego z domowników czytania. Przyzwyczai to je do czynności w kierunku publicznego dobra, podniesie we własnéj opinii i myśli wprowadzi na drogę dotąd im nieznane. Korzyść wzajemna ztąd wyniknie: dla młodych nauczycielek i nauczycieli i dla uczących się.

J. K. Gregorowicz.

Góralka.

Na wyżynach, pod obłoki,
Pnie się nasza chata;
Skały, jary, i potoki,
Dzielą nas od świata.
Tylko orły krążą w chmurach,
A w lesie zwierz różny,
Ledwie czasem w naszych górach,
Zbłąka się podróżny.

Powiej wietrze z dolin świata,
Przez śnieżne zamiecie,
Niech się dowiem w młode lata,
Co słychać na świecie.
Lub przez jary, przez urwiska,
Niech się gość zabłąka,
Niech pogwarzy u ogniska,
Lub w struny zabrząka.

Choć mieszkamy bliżéj nieba,
Od ludzi zdaleka,
Lecz serc ludzkich nam potrzeba,
I mowy człowieka.

I choć dobrze mi i miło,
Przy ojcu i matce —
Za kimś serce zatęskniło,
Czegoś pusto w chatce!

Jan Prusinowski

DEPOZYT

POWIEŚĆ

PRZEZ

WALERJĄ MARRENÉ.

(*Dalszy ciąg*).

Ale ona nie była na tej wysokości, chwila ich zjednoczenia minęła, moralna przepaść rozdzielająca ich rozszerzała się coraz bardziej. Hieronim powinien to był obrachować. Józia nie chciała wcale słuchać go więcej, ból który jej sprawił był nad jej siły, od dni kilku żyła zatopiona cała w zaczarowanych krainach ideału, a on wtrącał ją znowu w tę rzeczywistość nienawistną. Zdawało jej się od dawna, że los jej był srogą niesprawiedliwością, którą znosiła tylko z tajemną nadzieją, że jakiś przewrót niespodziany da jej miejsce w społeczeństwie na jakie sądziła iż zasługuje. Ignaś był więc należącym się jej z prawa wybawicielem, tyle razy w marzeniach widziała to co ją spotkało na jawie, iż wypadki te nie miały dla niej nic obcego, przyjmowała je jako rzecz słuszną, a Hieronim słowami rozsądku, chciał zwalczyć to wszystko, było to istne szaleństwo.

Powracali teraz oboje tą samą drogą do miasta; dziewczyna szła coraz spieszniej jakby porzucić chciała jego towarzystwo, ale on także zdwajał kroku. Wreszcie Józia zatrzymała się nagle, brwi jej były ściągnięte.

— Panie Hieronimie, wyrzekła gniewnie i szyderczo: dziękuje panu za dobre chęci, tylko dzięki Bogu, pan nie masz do mnie żadnego prawa.

Mówiąc to uderzała niecierpliwie nogą o flizy, zapewne zamierzała wypowiedzieć mu wiele rzeczy, jednak nie umiała na to dobrać słów stosownych: wyraz jej twarzy świadczył wyraźnie iż pragnęła być samą.

— Panno Józefo, zawołał jeszcze Hieronim, obyś nigdy nie pożałowała tego co czynisz, pomyśl o rodzicach twoich, o ojcu któremu staniesz się rozpaczą.

Spojrzała na niego przerażona, pozostał w jej głowie strach dziecinny, ale zaufanie jakie miała w przyszłość było tak zupełne, iż odparła po chwili namysłu.

— Ha, prędzej czy później ojciec wiedzieć musi.

— A więc dla czegoż, Ignaś nie przyjdzie oświadczyć się twoim rodzicom, panno Józefo, jak ja to uczyniłem, jak to powinien zrobić każdy mający uczciwe zamiary?

Były to znowu rozsądne słowa, które odbić się musiały o nielogiczność dziewczyny.

— Już on musi wiedzieć jak mu postąpić wypada, odparła robiąc ustami pogardliwą minkę, aż nadto zrozumiałą dla Hieronima.

Wszystkie usiłowania jego spełzły na niczem puścił naprzód towarzyszkę swoją, której tak pilno było pozbyć się jego obecności. Tysiące rzeczy snuły mu się w myśli, zrozumiał wreszcie jak trudno ratować jest tych, którzy ginąć pragną, w których naturze leży zguba konieczna, jak w owych motylach

nocnych lecących w płomień: przecież pragnął koniecznie bronić dziewczyny, w której los wmięszał się dobrowolnie. Przed chwilą sądził ją szlachetną i nieszczęśliwą, rozmowa ta przekonała go, iż ona sama nie wiedziała co czyni, a zatem szlachetną być nie mogła. Była nieszczęśliwą ale nie tak jak on przeczuwał, to nie była biedna istota,zwyciężona namiętnością niepomiarkowaną i oddająca jej się z rozpaczą w sercu, tylko płoche dziecko, nie chcące pojąć co czyni, ciągnione w przepaść przez wszystkie złe żądze, którym pozwoliła oddawna zawładnąć sobą. Cóż więc dziwnego iż odsuwała od siebie przyjazną rękę. Rozmyślał co ma uczynić, ona odrzuciła pomoc jego stanowczo, czyż nie mógł ratować ją pomimo jej chęci? Wszak pozostawały mu inne drogi otwarte, przemawiał próżno do jej rozsądku mógł jeszcze odezwać się do szlachetności jej zwodziciela do Kalińskiego, wreszcie nie tracąc czasu udał się do Ignasia.

U młodego chłopca o tej godzinie było jeszcze rano bardzo, ciemne story ćmiły rażące światło dnia zimowego, ogień palił się na kominku, on sam w pół ubrany spoglądał w koło wesołemi oczyma. Przebudzenie było zawsze radosną godziną dla Ignasia, bezmyślna przyjemność bytu ogarniała go od razu, czuł wszystko co posiadał, a wspomnienie ładnej hafciarki, przyczyniało się zapewne do ukazywania mu życia w różowych kolorach. Niespodziane zjawienie się Hieronima, zrobiło na nim przykre wrażenie, sumienie jego wymawiało mu coś widać, względem nauczyciela, którego surowe oblicze wyglądało na wyrzut, jednak nie pokazując tego po sobie, powitał go wesoło.

— Na miłość Boską co się panu stało, zapytał? Co pana sprowadza tak rano? Hieronim milczał, jakby raziła go swoboda Ignasia i niedbały wdzięk jego obejścia: wszak on uczynił tyle złego a nie zdawał się poczuwać do winy żadnej, w przekonaniu swoim, był on niewinnym jak płomień, w którym biedny motyl znajduje zgubę, czemuż motyl był nieroztropnym. Znać było na jego czole zupełną spokojność, wszakże na czyn który popełnił, pozwala zupełnie kodeks dobrego towarzystwa i tylko sensaci i moraliści mogą go mieć za złe, rodzice nawet zazwyczaj, lubią zamykać oczy na tego rodzaju wybryki.

Hieronim czuł trudność swego położenia, myśli Ignasia były dla niego wyraźne, zapytywał sam siebie, jak porozumieć się z człowiekiem, z którym stoi się na dwóch przeciwnych biegunach? To co dla Ignasia było niewinną igraszką, dla niego zwało się zbrodnią. Był głęboko smutny, zniechęcony z rozmową z Józią, i nie znajdował słów któremi by mógł przemówić do swego dawnego ucznia.

Pomimo wszystkich wad swoich Ignaś miał dobre serce, nie był on w stanie kierować się żadnem rozumnem uczuciem, ale w danej chwili zdolnym był pójść za dobrym popędem, nie na dłużej w prawdzie jak na minutę. Smutek Hieronima zrobił na nim przykre wrażenie.

— Co panu jest? zawołał niebacznie.

Przysunął mu krzesło, na którym on usiadł zmęczony machinalnie prawie.

Przecież nawet w dobrych chęciach chłopca, przebijało się coś szyderczego, smutek Hieronima był dla niego potwierdzeniem domysłów względem Józi, miał dla niego współczucie szczęśliwego rywala. Nauczyciel tego ani przewidzieć, ani zrozumieć nie mógł, on myślał o krzywdzie wyrządzonej uczciwej rodzinie, o przyszłości, o zarzewiu jaki dorzucał bezmyślnie, do wiekowych niesprawiedliwości, o nienawiści jaką budził.

— Co mi jest, powtórzył, głosem którego próżno starał się stłumić wzruszenie, Ignasiu ty źle, ty bardzo źle postąpiłeś.

Ale ładny chłopiec, nie był w stanie zrozumieć tego wszystkiego, mimowolny uśmiech tryumfu zarysował mu się na malinowych ustach, spojrzawszy jednak na gościa swego, przybrał szybko poważniejszy wyraz.

— Doprawdy, zawołał, tym razem z nieudaną szczerością, źle uczyniłem, jednak to pana wina, dla czegoż byłeś tak skryty, Józia śliczna dziewczyna przecież odstąpię od niej natychmiast, tylko przyznaj pan że ją kochasz.

— Że ja ją kocham! zawołał Hieronim, patrząc niezmąconemi oczyma, prosto w twarz Ignasia, alboż tu chodzi o mnie.

— A o kogoż? zapytał naiwnie.

— O kogo, o nią samą, i o ciebie, powtórzył z mocą Hieronim, tknięty zupełnym brakiem moralnego zmysłu, objawiającym się w tych słowach.

Chłopiec spuścił oczy przed piorunującym wyrazem jego twarzy, w duszy jednak nie przekonany zupełnie.

— Więc cóż to pana obchodzić może? wyrzekł po chwili.

Były to smutne słowa, świadczące że pojęcia Ignasia nie przechodziły wcale pewnych utartych formuł, że nie rozumiał nic wcale po za interesem osobistym.

Nauczyciel spojrzał na niego prawie z litością. Czyż dla ciebie, spytał z kolei, złe i dobre nie ma żadnego znaczenia.

Ignaś nie był na wysokości tych prostych słów, i dla tego uśmiechnął się trochę szyderczo.

— Oh! oh! zawołał, używasz pan wielkich słów, ciekawym jednak dla czego to co jest złem dla mnie, dla pana ma być dobrem.

— Dobrem dla mnie, pochwycił Hieronim, nie rozumiejąc go zupełnie, dla czegoż mieszasz mnie uparcie w to wszystko.

Tu trudno było chłopcu wytłomaczyć, przecież po chwili zrozumiał, iż musi na swoją obronę przytoczyć wszystko co wiedział.

— Niby to, odparł, pan nie opiekujesz się Józią i jej rodziną, nie nająłeś im tutaj mieszkania.

— Ha więc o to chodzi, wyrzekł nauczyciel, obrzucając go pogardliwem spojrzeniem, tak jest opiekowałem się tą rodziną, może nawet byłbym szukał w niej żony, ale nie przeszłoby mi nigdy przez myśl ją shańbić.

— Żony? zawołał prawie przestraszony Ignaś, i któż się mógł spodziewać! czemuż nie powiedziałeś pan tego?

— Więc ażeby biedna dziewczyna zasłoniętą była przed pokusami twemi, trzeba było dla niej mojej opieki, odparł z goryczą. Czyż ubóstwo, i tak samo przez się nie stanowi co chwila pokusy, którą byście przynajmniej, wy szczęśliwi uszanować powinni. Czyż biedna dziewczyna, utrzymująca swoją pracą rodzinę, pozbawiona wszystkich uciech życia, nie dość twardą ma dolę, byście mieszali jej spokój wyzyskiwali łatwowierność, i prowadzili ją do upadku. Igraszki wasze są okrutne i szalone. Świat woła: hańba upadłym a ja powiadam, hańba kusicielom, hańba tym co darów losu na zgubę tylko używać umieją. Czy znacie jakie wściekłe nienawiści budzą one w koło was? Czy wiecie ile serc zatruwacie jadem? Czy domyślacie się chóru przekleństw, który wznosi się ku wam z otchłani nędzy, czy wiecie co te przekleństwa zrodzić mogą. Może one kiedyś nad głowami waszemi zawyją straszliwą burzą, a grom zemsty spadnie na tych, co mając wszystkie rozkosze bytu, nic uszanować nie potrafili. Ale wy nie chcecie domyślać się tego; daremnie ziemia drży w posadach, daremnie ciągną groźne chmury, wy musicie bawić się, bawić się zawsze, bodaj cudzem życiem i szczęściem, nic nie stoi na straży zachceń waszych.

Mówił to stłumionym, urywanym głosem, jakby siła przekonań wyciskała mu słowa, których nie chciał wymówić. Ignaś słuchał go przerażony spoglądając w tę ascetyczną twarz, przetworzoną zapałem. Ten chłodny, spokojny człowiek, przestał być panem siebie.

— Na Boga! zawołał przerażony chłopiec, pan ją kochałeś?

— Tak, kochałem, odrzekł Hieronim w niej wszystko co cierpi i walczy, wszystko to co nędzne, nieszczęśliwe, zdeptane, miłość moja to nie egoistyczna żądza, nie igraszka zmysłów, niezapełnienie chwili zwudzenia, ale wielkie wszechwładne uczucie, obejmujące ludzkość całą swojem kołem.

Są chwile, w których natury najbardziej zamknięte wypowiedzą tajemnicę swoją nie bacząc przed kim ją odkrywają, serce jego było wezbrane. A przecież była taka prawda w tych namiętnych wyrazach, że Ignaś nie pojmując ich dobrze uszanować musiał. Może w myśli porównywał on zwykłe sądy swiata z nieubłaganą surowością Hieronima i pytał samego siebie, po której stronie jest słuszność? Jednak nie wypowiedział tej wątpliwości.

Młody człowiek uspakajał się zwolna, po chwili tylko lekkie drżenie powiek i wilgotny blask wejrzenia zdradzało jego wzruszenie.

— Uniosłem się za nadto, wyrzekł z cicha zakładając ręce na falującej piersi, ale ty musisz mi przysiądz, że porzucisz tę okrutną zabawę, że więcej nie zobaczysz biednej dziewczyny.

Teraz on panował nad Ignasiem całą potęgą swoją, chłopiec oprzeć mu się nie był w stanie, przyrzekł wszystko. Więc mógł oddalić się zadowolony, a jednak coś mu szeptało, że na tej kruchej obietnicy szaleństwem było poprzestać, wymógł ją siłą duchowej przemocy, ale nie zdobył przekonania, była to ofiara uczyniona dla niego, ale nie dla obowiązku, druga chwila zapewne, zniweczyć mogła to dobre postanowienie. Przecież cóż mógł więcej uczynić? Daremnie stawał pomiędzy ludźmi, których fatalność popychała ku sobie, przeciw ich dwom wolom, co znaczyła jego wola, zastanawiał się nad tem z niepokojem, gdy do pokoju syna wszedł Kaliński.

Był to u niego codzienny zwyczaj przecież zastawszy tu niespodzianego gościa, wzdrygnął się cały jakby widok jego przypomniał mu znowu coś, o czem chciał zapomnieć koniecznie. Od dni kilku p. Arnold zmienił się bardzo, zdawało się iż czerstwa postać jego napiętnowała się przedwczesną starością, w podkrążonych oczach znać było bezsenność, a spalone wargi świadczyły o wewnętrznym ogniu, trawiącym go tajemniczym płomieniem.

Fakt ten nie uszedł uwagi Hieronima, w brew woli podejrzenia jego stawały się przekonaniem tysiące niezrozumiałych na pozór rzeczy, wiązało się w jego myśli w całość zrozumiałą coraz bardziej. Może domyślał się nawet, dla czego stał się tak nagle i bez przyczyny wstrętnym dla Kalińskiego, wstręt ten istniał,zdniem każdym stawał się wyraźniejszym, dotąd jednak nie miał prawa go się domyślać, by to odcień tylko; widny dla niego jednego, choć tłumiony starannie, więc wstręt ten nie pochodził z po wodów do którychby przyznać się można.

— Jeszcześ nie ubrany, Ignasiu, wyrzekł ojciec powitawszy w przód Hieronima; przecież o jedenastej masz prelekcyą.

— Ah! tłomaczył się chłopiec, będę zaraz gotowym, już idę, już idę.

I mówiąc to kończył pospiesznie ubranie.

— Jesteś doprawdy niepoprawnym, mówił smutnie Kaliński.

Ale syn wmgnieniu oka unikając dalszych morałów włożył paletot kapelusz i był gotowym do wyjścia.

— Nie gniewaj się mój ojcze, szepnął na progu, do widzenia panie Hieronimie.

I zbiegł ze wschodów jednym pędem.

Hieronim chciał odejść także, jakiekolwiek były podejrzenia jego wahał się z ich stwierdzeniem, tym czasem tknięty dziwnym przeczuciem, zbliżył się do okna i odchylił storę. Okno wychodziło na dziedziniec i mógł dostrzedz jak Ignaś u drzwi swoich prawie spotkał Józię wracającą z miasta. Na jej widok zapewne, wszystkie surowe, usłyszane przed chwilą, słowa równie jak uczyniona obietnica, wyszły mu z pamięci, bo spiesząc się, uśmiechnięty, swobodny zbliżył się do niej, i nie troszcząc się wcale o świadków, którzy z okien widzieć go mogli, objął ją w pół szepnął coś i szedł dalej, wciągając spokojnie rękawiczki, których z pośpiechu nie miał czasu zapiąć na guziczki.

To wszystko zabrało zaledwie sekundę, Hieronim odwrócił się do Kalińskiego blady śmiertelnie.

— Patrz pan, zawołał głucho, patrz na twego syna.

Pan Arnold stał za nim, widział wszystko, i oczy ich spotkały się teraz z jednakim wyrazem. Chwilę trwało pomiędzy niemi milczenie, a na ustach Kalińskiego było pytanie, co to za dziewczyna, ale nie wypowiedział go, on znał jej nazwisko, nazwisko to wyrytem było w głębi jego mózgu ognistemi zgłoskami.

— Panie, zawołał wreszcie Hieronim, daremnie przed chwilą, wymawiałem Ignasiowi jego postępowanie, stawałem w obronie rodziny, która mnie obchodzi, on przyrzekł mi poprawę, patrz jak ją dotrzymuje—Kaliński był zgnębiony, grom ten uderzał w zwycięzonego człowieka.

— Ja go potępiam równie z panem, wyrzekł urywanym głosem z widocznem wysileniem, idzie zgubną drogą, teraz użyję całej powagi.

Hieronim był nadto wzburzonym by uspokoić się tak łatwo.

— Uczyń to dla niego samego, zawołał, bo na Boga, gdyby Jan Pliszka dostrzegł to, cośmy widzieli w tej chwili, nie przebierałby w zemście.

Pliszka, znowu to nazwisko, którego tak bardzo lękał się usłyszeć, zabrzmiało w jego uszach, teraz jednak był na nie przygotowany, nie wzdrygnął się, nie zachwiał, ale owszem pochwycił gorączkowo.

— To podobno bardzo biedna rodzina, mieszkająca w tym domu.

— Tak jest, rodzina ta jest biedną i cóż ztąd?

Mówił to szorstko, jakby Kaliński był w oczach jego odpowiedzialnym za syna, lub z innej nieodgadniętej przyczyny.

— Chciałbym coś dla niej uczynić, oddał Arnold, nędza w sąsiedztwie zbytku, podwójnie ciężką być musi. Pan interesujesz się tą rodziną, powiedz mi, jakim sposobem mógłbym jej przyjść w pomoc skutecznie? Każdy ma swoje pragnienia, choćby takie które do rzędu marzeń zaliczają, chciałbym urzeczywistnić je dla tych ludzi.

Oczy Hieronima spoczywały ciekawie w mglistych źrenicach Kalińskiego, zdawały się go badać o powód tych wspaniałomyślnych chęci. Wprawdzie był on znanym z dobroczynności, przecież to nie starczyło na wytłomaczenie uczynionej ofiary, czuł sam, że powinien pokryć ją jakimś pozorem bo dodał po chwili.

— Obraza wyrządzona przez Ignasia, wynagrodzoną być powinna, jeśli nędza była wspólnicą jego, ja chciałbym ją usunąć.

Jednak gdy wymawiał te ostatnie słowa, czoło jego zrumienione spuściło się ku ziemi.

Nowa myśl mignęła błyskawicą w głowie Hieronima, teraz lub nigdy, powinien był wiedzieć wszystko...

— Pan ciekawy jesteś marzeń tych ludzi? spytał z niespokojnością.

— Tak jest, jeśli one urzeczywistnione być mogą.

Młody człowiek umilkł na chwilę, to co miał powiedzieć było tak stanowczem, iż sam się zawahał, ale to trwało krótko: zbliżył się do Kalińskiego, wpił wzrok w twarz jego, i wyrzekł jasno, dobitnie:

— A więc słuchaj pan, marzeniem Pliszków jest odebrać należące im się z prawa dziedzictwo ojca, skarb jego, zebrany przez życie całe skąpstwa, a zniknął bez wieści, tutaj, w tym domu właśnie, lat temu kilka.

Mógł mówić długo, Arnold nie był w stanie nic odpowiedzieć, oczy jego szeroko rozwarte wlepiały się w przestrzeń, osłupiałe, ciało drżało niby w febrze a ręce wyciągnięte przed siebie zdawały się odpychać jakieś widmo nieubłagane.

Hieronim nie mógł już mieć wątpliwości, jasność zupełna zrobiła się w duchu jego, zrozumiał tajemne smutki i niepokoje trapiące tego człowieka, niepozlakowanej dotąd sławy, wiedział w czyich rękach był skarb Grzegorza Pliszki. Ale nie miał miłosierdzia nad tem nikczemnem cierpieniem, on myślał tylko o pokrzywdzonych, porównywał nędze ludzi, którym brakło nieraz suchego kawałka chleba, ze zbytkiem co go otaczał, dla tego wyciągnął rękę nad głową nieszczęśliwego, przygniecionego strasznem odkryciem tej chwili.

— Skarb ten nie zginął, wyrzekł nachylając się ku niemu, pan wiesz o tem najlepiej, bo skarb ten jest w twojem ręku.

Głuchy jęk był całą odpowiedzią, Kaliński zatoczył się i padł całym ciężarem w pół martwy na posadzkę.

(d. c. n.)

Korespondencja ze Lwowa.

Scena lwowska poniosła w krótkim przeciągu czasu dwie bardzo dotkliwe klęski. Jeszcze nie została wypełnioną luka po niedawnej śmierci śp. Lecha Nowakowskiego, a już ubył znowu z personalu artystycznego członek zdolny, użyteczny i zasłużony. W połowie ubiegłego miesiąca zakończył życie po bardzo krótkich cierpieniach Karol Królikowski. Jakby dla uwydatnienia smutnego losu polskiego artysty dramatycznego, nie zdobyły się nasze pisma nawet na odpowiednie artystycznym i obywatelskim zasługom zmarłego wspomnienie pośmiertne. „Po krótkich cierpieniach umarł Karol Królikowski reżyser sceny polskiej we Lwowie w 49 roku życia. Był on bratem Jana Królikowskiego i podporą sceny trzydzieści lat." Tak opiewały lakoniczne nekrologi tutejszych dzienników, a dyrekcja teatru rozporządzająca wielkiemi kolumnami codziennego pisma poprzestała także na tej wiadomości, chociaż na niej przedewszystkiem ciężył obowiązek podania bliższych szczegółów o życiu zmarłego artysty i oddania skromnego hołdu tyloletniej pracy i zasługom jego! Domagała się tego nietylko sprawiedliwość dla pamięci zasłużonego człowieka, ale nadto jeszcze wzgląd na publiczność pragnąca znaleźć bodaj wzmiankę o życiu człowieka, którego talentowi, niewdzięcznej pracy i wysileniom zawdzięcza wiele chwil uniesienia i szlachetnej rozrywki umysłowej. Na tych drobnych szczegółach biograficznych i my tymczasowo poprzestać musimy nie wątpiąc, że koledzy i znajomi zmarłego przyjdą dziennikom w pomoc z większym zapasem wiadomości.

Z cmentarza spieszymy z czytelnikiem wprost do sali koncertowej i teatralnej. Może to wyda się komu zwrotem nadto śmiałym a co gorsza wcale niewłaściwym? Świadczę się całym Lwowem, że tak nie jest. Po pogrzebie obu na wstępie wymienionych bardzo zasłużonych artystów, publiczność lwowska poszła wprost do teatru i słuchała spokojnie gry i śpiewu artystów i śpiewaczek, bo dyrekcja niemiała żadnego powodu do zawieszenia przedstawień scenicznych na dwa wieczory!.. W obec tych faktów zwrot powyższy nie może sprawić korespondentowi żadnych skrupułów!

Wracam więc do koncertów. Mamy obecnie w gościnie znakomitych artystów Hansa Bülowa, Wilhelmiego, Kletzera panią Artot, a wreszcie znaną także, i w Warszawie bardzo zaszczytnie T. Brzechffę. Nadto jeszcze pobyt tylu znakomitych gości nie osłabił wcale, lecz owszem podniecił gorliwość w produkcjach muzykalnych naszych miejscowych artystów, Towarzystwa muzycznego i opery polskiej. Koncerty sypią się zatem prawdziwie jakby z rogu obfitości, ale nikt nie czuje zbytku w tych produkcjach, bo sala bywa zawsze przepełnioną, a publiczność lwowska coraz silniej utwierdza zagranicznych muzyków w rozpowszechnionem już przekonaniu, że każdy z nich w podróżach artystycznych, zboczyć może do Lwowa z pewną nadzieją powodzenia i zysku.

Dawniej a nawet jeszcze w roku ubiegłym, tak częste koncerty szły na rachunek kary teatru, którego przedstawienia odbywać się musiały przed pustemi przynajmniej w połowie ławkami. W tym roku jak widać zmysł estetyczny publiczności lwowskiej znacznie spotężniał, gdyż sala teatralna jest zawsze pełną, chociaż przypadła w tej chwili kolej na poważne arcydzieła Szekspirowskie. Nawet dłuższy pobyt we Lwowie jakiejś wędrującej trupy niemieckiej i kokietowanie publiczności lekkiemi operetkami niemieckiemi nie robi żadnej ujmy scenie polskiej i operze.

Z nowości literackich zasługujących na wspomnienie, nie wiele pojawiło się w ostatnich czasach. Najpierw wspominamy o książce p. Władysława Fedorowicza p. t. Szkolnictwo ludowe w Anglii. Jestto studjum sumienne i troskliwe, a co najważniejsza bardzo pożądane w chwili, gdy tyle piszemy i rozprawiamy o reorganizacji i podniesieniu naszego szkolnictwa ludowego. Dzieło p. Fedorowicza ma jednakże wartość bezwzględną niezawisłą wcale od przypadkowego zbiegu okoliczności, które niezawodnie podnoszą ją znakomicie. Sam przedmiot bo-

wiem jest interesujący, a traktowanie odpowiada wszelkim wymaganiom.

Najświeższa powieść utalentowanego powieściopisarza p. Michała Bałuckiego p. t. Siostrzenica księdza proboszcza, zwróciła na siebie uwagę, co zawdzięcza nie zaletom niepospolitym lecz ekscentryczności tematu. Szkoda, że osnowa powieści nie kwalifikuje się wcale do powtórzenia w Tygodniku, chociażby w najostrożniejszem streszczeniu. W takim razie bowiem moglibyśmy się bliżej zastanowić nad wartością téj książki, porównając ją z poprzedniemi dziełami autora, który odrazu zdobył sobie piękne stanowisko w rzędzie naszych powieściopisarzy. Z konieczności zatem poprzestać musimy na sensie moralnym całej powieści, który streszcza się w skarceniu bezwzględnego potępiania upadłych kobiet i w apoteozie nawróconych grzesznic tego rodzaju. Sens moralny doprowadził autor do takiej ekscentryczności, że na podstawie jego argumentacyi należałoby n. p. mieć większą sympatję dla człowieka, który po długim letargu moralnym ocknął się z nałogu pijaństwa, niżeli dla człowieka, który potrafił ustrzedz się od tej zdrożności. Podniesienie się z występku jest niezawodnie godnem pewnego szacunku, objawem hartu woli i siły moralnych instynktów, ale to wcale jeszcze nie upoważnia powieściopisarza do takiego przedstawienia rzeczy, by powieść obudzała większe współczucie dla zwalczonego występku, niż dla nieskalanej cnoty. Podobne założenie byłoby wcale naturalnem, gdyby celem powieści było jedynie wywołanie większej rozwagi. Ale p. Bałucki niemiał widocznie tego zamiaru, bo wpada może nawet nadto często w ton kaznodziejski.

Ważną rolę odgrywa w powieści p. Bałuckiego, zamiar stworzenia typów księdza ze szkoły jezuitów i rozsądnego kapłana, wprowadzającego harmonię pomiędzy obowiązkami swojego powołania a zmienionemi warunkami dzisiejszego życia i pojęciami nowoczesnego postępu. Pierwszym typem jest ksiądz Albin a drugim ksiądz proboszcz. Zamiar ten nie powiódł się autorowi stanowczo. Takich hipokrytów jak ksiądz Albin nie potrzeba się wcale obawiać, bo ich każdy wytknąć może palcami, a tacy podobno nic nie szkodzą ani kościołowi ani społeczeństwu. Jeszcze nienaturalniejszą jest postać księdza proboszcza, który wcale nie jest księdzem we właściwem tego słowa znaczeniu, a przynajmniej do tego tytułu wcale nie powinien się przyznawać. W powieści p. Bałuckiego jest on pożałowania godną istotą, bo nie zdołałby zadowolnić nawet rozsądnych i dalekich od religijnej przesady parafiana, z drugiej znowu strony ma jeszcze trochę za wiele przesądów, ażeby mógł być pasterzem bezwyznaniowych owieczek.

Pomimo tych wad powieść p. Bałuckiego znajdzie niezawodnie bardzo wielu i chętnych czytelników. Myśli bowiem poruszone w niej przez autora nie miały jeszcze u nas dotąd otwartych propagatorów, chociaż w literaturze zagranicznej a mianowicie francuzkiej, napisano już mnóstwo powieści na ten temat. Zresztą nie podobna jej odmówić żywej dykcyi i zręcznego układu całej akcyi, która przeprowadzoną jest z taką werwą, że czytelnik przebiedz może całą książkę jednym tchem bez znużenia.

Zanim przejdę do literatury jednodniowej, o której chciałbym obszerniej pomówić donoszę wam pożądaną wiadomość o ostatecznem ukonstytuowaniu akademii nauk i umiejętności w Krakowie. Cesarz zatwierdził wybór profesora Majera na pierwszego prezesa, a Józefa Szujskiego na pierwszego jeneralnego sekretarza akademii. Zarazem zatwierdzoną została druga lista członków akademii, na której spotykamy: dr. Józefa Dietla, prezydenta miasta Krakowa, członka izby panów i byłego rektora uniwersytetu Jagielońskiego i dr. Ignacego Czerwiakowskiego profesora tegoż uniwersytetu Dr. Ignacego Żebrowskiego inżyniera; hr. Alexandra Fredrę (ojca), dr. Antoniego Małeckiego rektora uniwersytetu lwowskiego dr. Szaraniewicza docenta tegoż uniwersytetu; Wawrzyńca Zmurkę profesora matematyki na uniwersytecie lwowskim, Augusta Bielowskiego dyrektora biblioteki Ossolińskich; ekonomistę Józefa Supińskiego, kanonika i byłego profesora, ks. Franciszka Pawłowskiego i publicystę Juljana Klaczkę.

Co do literatury której nazwę dałem jednodniowej, to w ostatnich kilku latach Galicja a przedewszystkiem Lwów wyrobił sobie na polu perjodycznych publikacji literackich wcale niepochlebną sławę. Z godną lepszej sprawy pilnością i akuratnością pojawiały się we Lwowie przed każdym nowym rokiem liczne pomysły nowych wydawnictw literackich, z których ani jedno nie zdołało kompletnym rocznikiem zamknąć okres swojej egzystencji. Wprawdzie większa część tych przesiębierstw była wynikiem lekkomyślnej zachcianki nie zdającej sobie nigdy sprawy ani z sił moralnych ani z środków materjalnych, ale ostatnie niejedno wydawnictwo z ostatnich kilku lat, podjęte zostało nie pod wpływem ambicyjki lecz w dobrej wierze, w chęci przysłużenia się publiczności, a co ważniejsza po dojrzalszem zastanowieniu się nad wszelkiemi trudnościami przedsięwzięcia. By nie poprzestać na ogólnikowej uwadze, wskażemy np. na Mrówkę, która była niezawodnie pismem zasługującem pod każdym względem na usilne poparcie. A przecież i te wyjątkowe zalety nie zdołały pokonać fatalizmu, któremu po kolei uledz musiały wszystkie wydawnictwa w nader krótkim czasie. Na ten fatalizm zwalili całą winę swojego niepowodzenia także i ci wydawcy, którzy przystępowali do podjętego dzieła z lekkomyślną ambicją i tem niemało się przyczynili do spotęgowania i tak już nader wielkiej apatji publiczności czytającej. Skończyło się w końcu na tem, że z mnóstwa zapowiedzianych pism Galicja posiada w tej chwili tylko następujące: wydawany co miesiąc Przegląd polski (w Krakowie), który istnieje tylko dzięki ofiarności kółka znakomitych literatów krakowskich, miesięcznik beletrystyczny. Strzechę, którą zręczny wydawca tylko sztucznemi środkami zdołał do pewnego czasu zaaklimatyzować w dość licznem gronie prenumeratorów, a wreszcie Przegląd lwowski, który na pierwszym planie stawia sprawy religijne, a potem dopiero porusza sprawy naukowe i literackie. Na tem wyczerpnęliśmy już komplet galicyjskich pism literackich, bo dwa pisma krakowskie: Dziennik mód i Pochodnia liczą swój żywot dopiero na dnie i—mówiąc otwarcie mimo wszelkiej życzliwości—dotąd wcale nie obudziły przekonania, że posiadają warunki dłuższego bytu. Obawiamy się nawet, że naliczyliśmy może za dużo pism literackich, bo ze wszystkich powyżej wymienionych, może tylko jeden Przegląd polski zasługuje na nazwę pisma prawdziwie literackiego.

W porównaniu z powyższemi datami stan dziennikarstwa politycznego jest pod każdym względem świetny. Ta sama publiczność galicyjska, która pozwala na to, by znakomite pismo literackie Przegląd polski istniało jedynie dzięki prywatnej ofiarności szczupłego grona autorów, która decyduje się na zaprenumerowanie powieściowych zeszytów Strzechy jedynie dla prędszego pozbycia się natrętnych kolporterów wydawcy księgarza.—ta sama publiczność podtrzymuje cztery wielkie codzienne pisma polityczne, dwa we Lwowie a dwa w Krakowie, obok których wychodzi jeszcze nadto codzienny dziennik rządowy; kilka pism drobniejszych rozmiarów. Mimo to wszystko pole wydawnictw politycznych pism dotąd jeszcze nie jest zamkniętem dla nowych przedsiębierców. Wydawca nowy mający dość sprytu do zjednania nowemu pismu wziętości w świecie, który anonsami swojemi zapełnia stronę inseratową, wydawca, który potrafi zdecydować się na ustawiczne drażnienie ciekawości publicznej skandalami, nawet często niesmacznemi i niesprawiedliwemi,—może śmiało wziąć się do dzieła i liczyć na powodzenie. A gdyby wreszcie kto zechciał wyexploatować przedsiębierstwo dziennikarskie radykalnie nieprzebierając w środkach i w tym celu zaszczepił u nas zasady moralności dziennikarstwa wiedeńskiego, które z wyuzdaną otwartością i cynizmem targuje się z bankami i kolejami o cenę reklam i pochwał, to w takim razie gotowiśmy zaręczyć powodzenie jeszcze kilku dziennikom o wielkich rozmiarach.

Niepodobna zwalać całej winy za ten fatalny stan rzeczy na pisma literackie, z których niejedno odpowiedzieć mogło nawet wybrednym wymaganiom. Stan ten rzeczy dzisiejszy stworzył najświeższy kierunek smaku naszej publiczności, w której znalazła się nad wszelkie spodziewanie, wielka liczba zwolenników lekkiéj strawy dziennikarskiéj przyprawionéj silną dozą skandalu i blagi. Dziennikarstwo nader zręcznie wyzyskało zachcianki publiczności i wydoskonaliło produkcyę skandalu tak znakomicie, że lwowska fabryka mogłaby po bardzo umiarkowanych cenach dostarczać tego artykułu wszystkim dziennikom krakowskim, warszawskim i poznańskim. (1) Lwowskie dzienniki zaczęły formalnie współzawodniczyć w tym kierunku, obrzucając się najpierw nawzajem codziennym gradem najostrzejszych pocisków, a następnie zajmują się w sposób wcale nieprzyjemny wybitnemi osobistościami z różnych stanów i zawodów. Śmiałe atakowanie osób zasługujących istotnie na publiczne skarcenie, będzie zawsze przywilejem a nawet obowiązkiem dziennikarstwa powołanego do obrony publicznej moralności i sumienności. Ale dzienniki nasze przebrały w tej sprawie wszelką miarę w ten sposób, że przywileje ich stały się postrachem nawet dla ludzi najniewinniejszych, a obowiązek dziennikarski przemienił się w karogodną swawolę. Bo czyż nic jest swawolą śmieszne podejrzywanie nawet osób niewinnych jedynie dlatego, ażeby w każdym numerze szarpnąć dobrą sławę jakiejś znanej w całym kraju albo w całem mieście osobistości, i ażeby chlubić się potem publicznie z nieustraszonéj odwagi w karceniu zdrożności.

Niestety wszystkie tego rodzaju napaście są zawsze ubrane w ponętną formę humorystycznych artykułów, niewinnych żartów, w skutek czego obałamucone poczucie sprawiedliwości nie może się rychło odezwać z należytą powagą.

Temu fatalnemu kierunkowi smaku publiczności, schlebiać zaczęły w ostatnich czasach nawet fejletony pewnych dzienników. Zaledwie skończy się w fejletonie jakaś licha ale denerwująca powieść kryminalistyczna, a już nazajutrz redakcya pocieszа swoich czytelników, że ma gotowe tłomaczenie nowego arcydzieła podobnéj treści, albo jakiegoś dziwoląga powieściowo-historycznego ot tak np. korresponden-

1) Warszawa bez tej pomocy może się zupełnie obejść, ma już bowiem własną fabrykę bardzo produkcyjną, tak dalece ze w ustępie ceny na swe wyroby, nie długo z Wiedniem będzie rywalizować. W kierunku tym usiłowania u nas coraz energiczniejszym cieszą się rozwojem, i choć był czas żeśmy z zagranicy chleb nawet sprowadzali, to za blagę, napaść i skandal obczyznie i grosza z pewnością nie zapłacimy. (Red.)

cyą tajną z Tuileryów albo coś podobnego. Poważniejszéj pracy nie znajdzie czytelnik nigdy w takim fejletonie, bo wydawca ma niezbitą wskazówkę, że poważnemi artykułami pewnie nie przysporzyłby wzrostu liczby prenumeratorów, lecz owszem postradałby dość znaczną ich liczbę. Że szał ten zgubny nie zapanował dotąd we wszystkich naszych pismach codziennych, zawdzięczamy to jedynie sumienniejszemu pojęciu obowiązków i wytrwałości reszty wydawców.

Pisma literackie nie mogły wcale robić ustępstwa na rzecz takiego kierunku smaku, bo na to nie pozwalało ani ich zadanie, ani szczuplejsze pole działania. W miarę zatem wzrostu dziennikarstwa politycznego, zmniejszało się ich niegdyś wcale piękne koło czytelników, aż w końcu ustaliło się przekonanie, że wydawnictwo pisma literackiego jest poświęceniem czasu i środków materyalnych, na co oczywiście zgodzić się mogą tylko pewni ludzie w wyjątkowem położeniu, a na nieszczęście takich jest u nas bardzo mało. Ubytek pism literackich jest niezawodnie ciężką, ale nie jedyną i nie największą klęską, która łączy się z obecnym wzrostem dziennikarstwa politycznego dla literatury. Brak bowiem dobrego pisma literackiego, które skupiając około siebie wyrobione już siły literackie, tem samem także wpływa na obudzenie i rozwój młodych i świeżych talentów, wydziera może literaturze niejednego dzielnego pracownika, a zniechęca ludzi starszych. Za to wzmacnia się ustawicznie szereg dziennikarzy, z których jedna część uważa swój zawód za najlepszą i jedyną drogę do kapitalizowania zdolności i nabytéj nauki, a inni dla tego tylko wstąpili na tę drogę, że wśród obecnéj stagnacyi wahali się wziąć rozbrat z piórem, za które chwycili w szczęśliwéj chwili i niezawodnie z daleko podnioślejszemi planami.

Powyższe uwagi mogą ułatwić rozwiązanie kwestyi, dla czego obecnie liczba lwowskich literatów jest niesłychanie nizką w porównaniu z nader licznym obozem dziennikarzy. Przed dziesięciu laty stosunek ten wyglądał wcale odmiennie. Wtedy miał Lwów jedno bardzo ale rozpowszechnione pismo literackie, obok którego chwilowo wychodziły jeszcze inne wcale niezłe pisma, i miał u siebie formalną kolonię literatów i uczonych, których zastęp może imponował nawet Warszawie (1). Obok pisma literackiego wychodził wówczas jeden tylko ale wcale poważny i wzięty organ polityczny, nad którym pracowało grono małe dziennikarzy z powołania. Dzisiaj nie mamy ani jednego pisma ściśle literackiego, szereg starszych i młodszych literatów zredukowany został do trzeciéj części dawniejszéj liczby, a za to wszystko pozostało nam kilka dzienników nieodpowiadających wcale warunkom poważnéj publicystyki, i potężny zastęp dziennikarzy, z których wyjątkowe tylko jednostki wybrały sobie ten zawód ciężki z powołania i z poczuciem jego wymagań, gdy tymczasem przeważną większość stanowią dyletanci, którzy dostali się na tę drogę tylko przypadkowym sposobem. (2)

Przy dzisiejszym potężnym wzroście dziennikarstwa politycznego, posiada mnóstwo takich dyletantów dziennikarskich, każde miasto będące ogniskiem umysłowego ruchu. Jestto osobna kategorya ludzi z pretensyami wyższemi, którym dorównać nie może stanowisko, z zachceniami literackiemi, którym nie odpowiada w zupełności mechanizm pracy dziennikarskiéj—jednem słowem, są to amfibia dziennikarsko-literackie. (1) Największy procent tych ochotników zawodu dziennikarskiego stanowią ludzie młodsi i intelligentni, a co więcéj często utalentowani, którzy rwąc się wcześnie do pióra wybierają jako nowicyat karyery literackiéj zawód dziennikarski, który prawie zawsze krzyżuje im plany, bo zamiast przygotować i zachęcić do prac poważniejszych, starga im talent i osłabi polot młodości na jednostajnéj, prawie rzemieślniczéj robocie. (2) Cóż więc skłania tych kandydatów do tak fałszywego wyboru? Niezawodnie bardzo często stosunki, fatalny zbieg okoliczności ale zazwyczaj najsilniejszą pobudką bywa urok, którym nęci młody umysł zawód dziennikarski. Jak to bowiem przyjemnie powiedzieć sobie, że się wstępuje w szeregi tych, których zadaniem jest być wyrazem i kierunkiem opinii publicznéj, chociażby nawet wypadło wypełniać podrzędne działy dziennika, łudząc siebie i drugich pożyczonemi z innych pism kombinacyami politycznemi? Jaką ta rozkosz musi uczuć kandydat zawodu dziennikarskiego na samą myśl, że przed nim stoi stała, spora liczba czytelniczków, którzy chwytają każdy świeży numer z upragnieniem! Znakomity pisarz czekać musi nieraz długo, nim go pozna publiczność, a jeszcze dłużéj nim doczeka się zasłużonego uznania. Dziennikarz pisze pod naciskiem upomnień zecera i wydawcy, za chwilę artykuł znajduje się już pod prasą, a niebawem potem słyszy już pochwalne głosy lub pioruny gniewu, dowodzące zawsze, że był czytany. A w końcu czyż nie jest zbyt silną ponętą dla młodego człowieka ta uprzywilejowana pobieżność cechująca pracę dziennikarską? Można pisać o rzeczy mało sobie znanéj, można pisać codziennie o czemś innem, bo do tego nie potrzeba ani studyów ani przygotowań. (3) Dodajmy do tego wszystkiego wziętość, jakiéj w krótkim czasie doczekać się może zręczny i gadatliwy felietonista albo dowcipny kronikarz bawiący publiczność chociażby kosztem ludzi niewinnych, a będziemy mieli obraz uroku, jakie zdala ma dla młodego talentu i umysłu zawód dziennikarski.

Iluzya ta oczywiście długo trwać nie może. (4) O kierownictwie opinii publicznéj i mowy nie ma, bo na to potrzeba publicysty z specyalnem wykształceniem, obejmującem cały tak obszerny dział umiejętności społecznych i politycznych, o których dyletant dziennikarski nigdy nawet nie pomyślał na seryo. (5) Szybkie dorabianie się uznania jest iluzyą, bo nigdzie żadna praca umysłowa nie bywa tak szybko zapomnianą jak w dziennikarstwie. (6) Wiecznie głodna publiczność czytająca, pochłania każdy świeży numer i nieszczędzi w pierwszéj chwili nawet pochwały, ale zato jutro już zapomina o wszystkiem, nawet o najznakomitszym artykule.

Sława wreszcie choćby najgłośniejsza a zdobyta na polu dziennikarskiem, jest tylko znikomym blaskiem, którego najzdolniejszemu dziennikarzowi nie pozazdrości nawet miernie utalentowany powieściopisarz albo poeta. W chwili, kiedy głośny dziennikarz upuszcza z rąk pióro, blask jego sławy zaczyna gasnąć a w krótkim czasie pamięć o nim pozostanie żywą chyba tylko w szczupłem kółku ludzi, zajmujących się z większą uwagą sprawami publicznemi.

Do szeregu takich dyletantów dziennikarskich garną się ludzie z różnych zawodów, a najwięcéj znaleźć tam można młodych nieraz nawet utalentowanych literatów, którzy w krótkim czasie strwonią talent, co najwięcéj na lekkich fejletonach i dowcipnych kronikach, a w najlepszym razie jeżeli potrafią rychło wycofać się z fałszywéj pozycyi stracą czas w którym wśród innych warunków mogliby znacznie postąpić.

O wiele dotkliwsze straty ponosić musi literatura na dziennikarstwie tam, gdzie obok owego zwodniczego uroku karyery dziennikarskiéj, ciągłe niepowodzenia wszelkich przedsiębierstw literackich zasilają szeregi dziennikarskich dyletantów świeżemi posiłkami. Już obecnie wymienić moglibyśmy u nas nazwiska ludzi, którzy pięknie rokowali nadzieje, a tymczasem znakomite zdolności swoje stępili na dyletentyzmie dziennikarskim albo na zawsze albo przynajmniéj na pewien czas. Jest uzasadniona obawa, że obecne niepowodzenia wydawnictw literackich powiększą znacznie liczbę takich ofiar.

Nasze dzienikarstwo, które kosztem wydawnictw literackich w ostatnich czasach bardzo się podniosło, powinno pamiętać o obowiązku, jaki na niem w téj mierze cięży. Mamy tu na myśli fejleton, który jest niezbędną częścią każdego dziennika choćby tylko z uwagi na liczne grono czytelników, pragnących dla niedostateczności swoich funduszów, znaleźć w jednem piśmie bodaj mierny, ale wszechstronny zapas pokarmu umysłowego. Ta część naszych dzienników mimo uznanéj ważności swojéj, dotąd jeszcze jest najwięcéj zaniedbaną. Składa się na nią albo jakaś licha powieść, albo kronika skandalów, albo wreszcie jakaś przypadkowo nadesłana redakcyi rozprawa. Tak zaniedbany jest fejleton lwowskich dzienników, że gdyby kto chciał zaczerpnąć z tego źródła wiadomości o ruchu literackim albo artystycznym, musiałby przyjść do przekonania, że wszyscy literaci, artyści i księgarze, zawiesili już od dawna wszelkie czynności swojego zawodu. A na nieszczęście właśnie w téj chwili nader pożądaną jest radykalna reforma fejletonu w ten sposób, by przynajmniéj w części pokryty został brak organów literackich dla ludzi ze zdrowym smakiem i brak ogniska dla rozbitych obecnie i narażonych na zupełne zniechęcenie młodych i starszych sił literackich. Jeżeli zaś fejleton naszych dzienników nie opuści dzisiejszego kierunku a stagnacya w świecie literackim nie zostanie usunięta w inny sposób, to skażenie smaku może znacznie uszczuplić i ten skromny zastęp inteligencyi, który dotąd zawsze ochoczo śpieszył z poparciem każdego, choćby pod najniepomyślniejszą wróżbą zawiązanego wydawnictwa literackiego.

Dr. B. Ł.

---

1) Co do przeszłości być może, ale w obecnym czasie przy każdem piśmie posiadamy tak wielką liczbę uczonych, że dla ich wielkości z pewnością Warszawa wkrótce będzie za ciasną. Nie posiadamy przemysłowców, kupców, fabrykantów i rzemieślników zdolnych, ale uczeni wyrastają u nas jak grzyby po deszczu. Urodzajność pod tym względem zadziwiająca. (Red.)

2) Dziwne podobieństwo z Warszawą. (Red)

---

1) Czyby Szanowny korespondent nam przymawiał?

2) Za śmiało to słowa. Korespondent widocznie chce zadrzeć nie na żarty z warszawskiemi literatami.

3) Korespondent za bardzo wymagający. U nas krytyki piszą się bez studyi a nawet bez przeczytania tego co się ma niby krytycznie ocenić, dla czegoż więc tak wiele zadawać sobie kłopotu z pracami bieżącego interesu? (Red.)

4) Ale nie u nas, w podobnych wypadkach jesteśmy niezmiernie wytrwali. (Red)

5) A po co miał myśleć, kiedy mu i bez tego dobrze się dzieje. (Red)

6) Mniejsza o to! Niektórzy warszawscy literaci w żadne mrzonki się nie bawią. – Co było przed nami, niech spoczywa w mogile posypane prochem zapomnienia co po nas będzie, z tego: i rubla nie wyciśniemy. Dziś, to wszystko, reszta nic.

ZABAWKI

I GRY TOWARZYSKIE DLA DZIECI.

(Dokończenie.)

Do gier towarzyskich wymagających namysłu, a więc stosowniejszych dla osób dorosłych, należą *warcaby, domino, szachy i forteca.* Gry to powszechnie znane, chętnie im się oddają dzieci lubiące zastanawiać się, z tem wszystkiem nie można im narzucać ich, bo wkrótce znudzą je i najpiękniejsze szachy pójdą w kąt. Jedna chyba *forteca* dłuższą zwykle cieszy się łaską, o niej więc parę słów powiemy. Gra ta, do której tylko dwie osoby należeć mogą, polega na zdobyciu fortecy, bronionej przez dwóch, rycerzy. Oblegający żołnierze w liczbie dwudziestu sześciu posuwają się wciąż naprzód po liniach wyznaczonych, cofać się im nie wolno. Gdy podstąpią zbyt blisko do stanowiska zajętego przez rycerza, a nic ich tyłów nie osłania, giną, ustępując z placu boju. Rycerze, ponieważ jest ich tylko dwóch biegać mogą we wszystkich kierunkach, udając się wszędzie, gdzie niebezpieczeństwo zagraża fortecy. Skoro żołnierze zajmą wszystkie stanowiska bronione przez rycerzy, bitwa przegrana, forteca zdobyta, co wszakże nie zawsze się zdarza, bo czujni rycerze tak uprzedzają wszelkie niebezpieczeństwo, iż albo wszystkich oblegających wybiją, albo też w taki kąt ich zapędzą, iż się ruszyć nie mogą. Gra ta jeśli nie dorównywa szachom pod względem kombinacyi, za to niepośledniejszą jest od warcabów. Tekturowa tablica z narysowaną i kolorowaną fortecą wraz z 28 kościanemi pionkami starannie utoczonemi kosztuje rs. 1 kop. 20, albo też 50 kop. ale bez pudełka.

Tak zwane *łamigłówki* mają oprócz zabawy tę dobrą stronę, iż budzą w dzieciach ciekawość, przyuczają do zastanawiania się, kombinowania i wytrwałości, wielką przynosząc im radość, gdy bez niczyjej pomocy jaką trudność pokonają, dla tego nie trzeba, aby starsi bawili się temi zabawkami, niby dla ułatwienia dzieciom roboty, bo wtedy cały urok zwycięztwa znika i dziecko staje się obojętnem. W niektórych tylko przypadkach, gdy dziecko z powodu niejasnych instrukcyi nie może sobie dać rady w żaden sposób, należy mu rzecz ułatwić, przez stosowne uwagi i napomknienia, ale nigdy ostatecznie zagadnienia nie rozwiązywać.

Oto niektóre łamigłówki, jakieśmy znaleźli w sklepie p. Müllera. *Łamigłówka abecadłowa*, (kop. 75) wyborną stanowi zabawę dla dzieci, którym kształt liter jeszcze nie utrwalił się w pamięci, i polega na tém, aby dopóty obracać, przystawiać i składać każdy z sześcianów, znajdujących się w pudełku, aż się utworzy jeden z obrazków wraz z będącą przy nim literą tak dużą, jak i małą. Tablic z obrazkami jest pięć, sześcianów szesnaście. W podobnym rodzaju są *Łamigłówki rycin z podpisami* (75 k), *Łamigłówki rodzajowe*, które kształcąc wzrok i uwagę dziecka wielką mu sprawiają uciechę, gdy sobie wybuduje domek, złoży ptaszka, konika lub cały krajobraz. Nierównie trudniejsza i zmudniejsza jest *Łamigłówka geograficzna* (r. 1 kop. 50), przystępna tylko dla dzieci, które już wiedzą, ile części świata jak się one zowią i z kształtu odróżnić je potrafią Dla starszych, umiejących już rysować mappy jest ona niepotrzebną, a nawet pod pewnym względem szkodliwą, gdyż ćwiartuje im kraje zupełnie przeciwnie rzeczywistym ich podziałom, ztąd robi zamącenie w głowie.

Są jeszcze łamigłówki: *geometryczna* (75 k.) i tak zwana *chińska* (60 k.), służąca do układania figur tak foremnych, jak i nieforemnych. O ile, pierwsza jest łatwą, o tyle druga trudną, tak iż starsze nawet osoby, jeśli mają dość swobodnego czasu, dobrze *nałamać* sobie muszą *głowę*, nim jaką ze 121 figur złożą w ten sposób, aby się w niéj znajdowało ani mniéj, ani więcéj jak 7 danych drewnianych kawałków.

Tu zaliczyć nam wypada tak zwane *Zabawy humorystyczne* (większa kosztuje 90 k. a mniejsza 50); mogą one na chwilę rozśmieszyć dzieci, ale ze względów estetycznych, a w części etycznych nie zalecamy ich zbytecznie. Owe zabawki humorystyczne polegają na tem, iż pocięta na kawałki jaka karykaturalna postać, po odjęciu pojedynczych lub wszystkich części, zmienia się na inną również pocieszną jak pierwsza. Humorystyczna zabawa mniejsza lepiéj się nam podoba niż większa. Fantastyczne bowiem postaci pajaców, skoczków, lub średniowiecznych rycerzy nie tyle oddziaływają na wyobraźnię dziecka, co wyśmiane ułomności fizyczne osób starszych, jakiemi zwykle są otoczone.

Mechaniczno-optyczne kółko (r. 1) podobają się dzieciom i nie koszlawią ich wyobraźni. Kręcące się w koło figurki, gdy na nie patrzymy przez otwory czarnego koła, odbite w zwierciadle, zdają się ruszać, skakać, tańczyć, jednem słowem wyglądają jak żywe, inne zaś figury ustawione na mosiężnym ćwieku i w ruch wprawione, odbijają to skaczącą piłkę, to drzewo rznięte i t. p.

Wiadomo czytelnikom naszym, jak usystematyzował zabawę dla dzieci niemiecki pedagog Fröbel. Otóż i p. Müller idąc za postępem, przygotował kilka *zabawek* i *łamigłówek* na sposób Freblowski, a więc w najprostszéj nawet rzeczy łączących zabawę z nauką. Takiemi są np. *Układanie patyczkami abecadła i figur* (30 kop.) albo też *Łamigłówka z 8 klocków* (30 kop.), gdyż tym sposobem dziecko bawiąc się, nabiera wyobrażenia o kształcie liter i najprostszych figur geometrycznych. Dla dziewczynek są bardzo przydatne worki do *wykłuwania szpilką* pieska, ptaszka, kwiatków i wyszywania ich następnie załączonemi włóczkami kolorowemi (60 kop.). Również do samego *wykłuwania* służą tablice na grubym papierze i stanowiące jaki pożyteczny przedmiot np. pantofelek do zegarka, zakładkę do książki i t. p. (35 k.).

Do jakich można dojść rezultatów najprostszemi środkami, pokazują nam zabawki ze zwykłych patyczków lub pręcików. Zaczynając od najprostszych figur, wymagających tylko złożenia kilku pręcików, dziecko niezbyt nawet pojętne stopniowo dochodzi do takiéj wprawy, iż bawiąc się, zbudować może dość skomplikowany wiatraczek lub domek. *Składanie patyczkami* 45 figur kosztuje 60 kop. a przeplatanie pręcikami 25 figur 75 kop. Pożyteczne te zajęcia byłyby jeszcze więcéj interesującemi, gdyby na figurach do patyczków, oznaczone zostały trochę ciemniejszym kolorem miejsca, w których patyczek znajduje się pod spodem, szczególniéj na początkowych figurach, kiedy dziecko nie ma żadnéj wprawy. Byłoby także do życzenia, aby jeśli nie figury, to przynajmniéj tablice opatrzone były liczbami porządkowemi, pamiętając o główněj zasadzie wszelkiéj nauki, iż od łatwych przystępuje się do trudnych rzeczy.

Co do freblowskiéj *Zabawki z kółkami mosiężnemi* (60 kop.), wprawiającéj oko do rysunku, należałoby także tablice ponumerować, a jeszcze lepiéj figury nawet.

WIADOMOŚCI

Z NAUK PRZYRODNICZYCH

ODNOSZĄCE SIĘ DO

DOMOWEGO GOSPODARSTWA

I POTRZEB

ŻYCIA CODZIENNEGO.

(Dokończenie.)

W ogóle wszystkie *wodne i błotne* ptastwo ma mięso czarne, tłuste i z właściwym sobie zapachem: jest ono pożywne bardzo, lecz rozpalające i niezbyt zdrowe.

Pomiędzy drobiem domowym pierwsze miejsce tak z powodu dobroci mięsa, zdolności tuczenia i jaj powszechnie używanych, zajmują *kogut i kura*. Ten od najdawniejszych czasów żyją w towarzystwie człowieka. Pierwotną ojczyzną ich zdaje się być Hindostan, gdyż tam bardzo zbliżone do nich gatunki dziko po lasach żyją.

Staraniem człowieka, wpływem klimatu i pożywienia, wytworzyły się liczne bardzo gatunki i odmiany kur domowych, kształtem, ubarwieniem i wielkością niezmiernie między sobą różne. Na szczególną uwagę zasługują zbyt mało jeszcze u nas rozpowszechnione, a jednak warte tego, rassy: *malajska, kochinchińska* i indyjska *brahmaputra.*

Bażant w stanie dzikim znajduje się w Persyi, na Kaukazie i w lesistych równinach w okolicach morza Kaspijskiego. Jako ptak domowy pojawił się on najprzód w Grecyi, po wyprawie Argonautów do Kolchidy, którzy je z tamtąd przywiezli. Mógłby być prawdziwą ozdobą wiejskich nagród, gdyby chów jego nie był połączony z wielą trudnościami i zbyt dużo nie wymagał starań, z powodu dzikości jego i nietowarzyskości. Oprócz pięknych gatunków nie oswojonych dotąd, głównie w Indyi żyjących, mamy w stanie swojskim *bażanta zwyczajnego, bażanta złotego, srebrnego, bażanta z obróżką*, etc. Samiec różni się od samicy bogatszym upierzeniem i długim ogonem.

Indyk pierwiastkowo pochodzi z Ameryki, gdzie w stanie dzikim dotąd obficie się znajduje nad brzegami Ohio, Missisipi i Missuri. Dopiero w połowie szesnastego wieku, ptak ten sprowadzony został do Europy przez misionarzy jezuitów, najprzód do Hiszpanji w 1552. Prędko pojawiły się i we Francyi, gdzie je przez czas jakiś nazywano *l'oiseau des jesuites*. Pierwsze indyki jedzono we Francyi na weselnych godach Karola IX, w 1570.

Perlica albo *pentarka* pochodzi początkowo z Afryki. W stanie dzikim żyje w miejscach bagnistych. Za czasów Arystotelesa pentarki w Europie już były zaaklimatyzowane. Rzymianie mięso jej cenili bardzo wysoko.

Gołębie dają delikatne, zdrowe pożywienie, zwłaszcza młode. W stanie swojskim znamy ich kilkadziesiąt gatunków, bardzo między sobą różnych, w stanie zaś dzikim więcej niż drugie tyle począwszy od gołębia mniejszego od zwyczajnego wróbla, aż do Jawajskiego *gołębia koronowanego (Columba coronata)*, wielkości gęsi, pięknego ciemno szafirowego koloru, z okazałym czubem na głowie.

Gołębie dzikie których trzy gatunki u nas posiadamy, stanowią lichą zwierzynę.

Kaczka domowa, chociaż bardzo do dzikiego swego prototypu podobna, zmieniła kolor mięsa, które daleko jest jaśniejsze. Mimo tego do strawienia nie jest łatwą.

Gęsi zwyczajne we Francyi, nad Renem a szczególnie w Alzacyi, ukarmiają w wyjątkowy sposób, mający na celu sztuczne powiększenie i udelikatnienie ich wątroby. Zawinięte w płótno, tak że tylko głowa z niego wystaje, gęś zawiesza się w ciemnem miejscu i obficie karmi. To pozbawienie zwierzęcia ruchu i światła, czyni niedokładnym proces oddychania, których pali, czyli okwasza palne części krwi; ztąd tłustość niebędąc niszczona przez okwaszanie tlenem przy oddychaniu wyciąganym, zbiera się w ogromnej ilości w wątrobie i płucach, które znacznie w objętości swej się zwiększają.

Wątroby gęsie w podobny sposób otrzymywane, służą do przyrządzania owych *pasztetów* Strasburgskich, Nantejskich, etc. tak przez smakoszów cenionych.

O drobiu i chowie jego, oraz znaczeniu w gospodarstwie domowem, kilka jeszcze uwag ogólnych uczynić tu nam wypada.

W wielu bardzo miejscowościach na zachodzie, gdzie wszystko co wpływać może na dobrobyt kraju, silną zachętę i poparcie znajduje tak w Rządach, jak i w Towarzystwach partykularnych, urządzone są wystawy i znaczne nagrody za wyborowe, a pożyteczne sztuki domowego ptastwa. Najznakomitsze panie współ ubiegają się o nie. U nas powinnoby to stanowić wyłączną część gospodarstwa kobiecego naszych pań i panien na wsi mieszkających.

Chcąc jed[illegible]ze i korzystnie tę ga[illegible]zemysłu wiejskiego [illegible]adzić, potrzeba znać najprzód naturę hodowanych gatunków, ich pot[illegible]ywczaje i sposób życia, oraz choroby którym podlegają i szkodliwe wpływy zewnętrzne, a przytem postępy jakie praca ludzka czyni, w przyswajaniu nowych gatunków. W tym celu w Paryżu na wielką skalę założony jest od 1860 roku zakład pod nazwą *Jardin d'Aclimatation.* W Warszawie jest projekt założeniu podobnego ogrodu początkowo na małą wprawdzie skalę, lecz zapewne przedsiębierstwo tak pożyteczne, prędko znajdzie uznanie i poparcie u myślącego, niezacofanego ogółu.

Na zachodzie już niektóre nieznane nam zupełnie gatunki przyswojono i domowemi uc[illegible]iono. Szanowny nabytek stanowi *hokko.* pta[illegible]merykański, z pięknym czubem środkujący pomiędzy indykiem a cietrzewiem, dający mięso bardzo smaczne; także *cyranka chińska,* będąca jednym z najozdobniejszych ptaków, a razem jednym z najsmaczniejszych, oraz innych wiele.

Na tem polu, przy małej a przyjemnej pracy, wspartej na łatwych do nabycia wiadomościach, niezmiernie wiele uczynić można. Chów naprzykład *pawiów* zupełnie prawie jest zaniedbany, a jednak mięso ich jest wyborne, okazałe pióra drogo się płacą i w handlu coraz więcej są poszukiwane. *Dropie, kuropatwy, przepiórki, cietrzewie,* w drugiem a najdalej trzeciem pokoleniu, jużby zupełnie swojskiemi stać się mogły i dostarczać do stołu wytwornego pokarmu. Wiele gatunków obcych, nawet z bardzo ciepłych krajów, pochodzących zaaklimatyzować się mogą.

Zwróćmy więc myśl naszą i działalność w tym kierunku a znajdziemy nietylko miłą rozrywkę, rozumne i pożyteczne zajęcie, lecz i dochody nasze na tysiące liczyć będziemy.

Tak robią wszystkie gospodynie za granicą nawet w wielkich posiadłościach Wiktorja Królowa angielska, wszystkie córki swoje od najmłodszego wieku, na osobnym folwarku kazała wtajemniczać w wiadomości naukowe hodowli zwierząt domowych, aby były prawdziwie dobremi obywatelkami kraju i przykładem dla drugich godnym naśladowania. Co gdziendziej się dzieje dla czegóżby u nas stać się nie miało?

H. K.

OD REDAKCJI.

Tygodnik Mód i Powieści w roku przyszłym 1873 wychodzić będzie w tym samym jak dotąd formacie i po tej samej obniżonej cenie prenumeracyjnej.

W Warszawie kwartalnie. . . .	Rs. 1 kop. 50	
Na Prowincyi tak w Cesarstwie jak Królestwie z . . . . przesyłką pocztową:		
Rocznie	Rs. 8	„ „
Półrocznie	Rs. 4	„ „
Kwartalnie	Rs. 2	„ „

Upraszamy o wyraźne wypisywanie nazwisk i ostatniej stacyi pocztowej, jak również o przysyłanie należytości *wprost* do Redakcyi pod adresem do J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci w Warszawie. Ulica Żabia N 956 (nowy N. 6)

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE.

Wychodzi w formacie mniejszego arkusza z dodatkiem półarkuszowym, który w jednym tygodniu obejmuje powieść większych rozmiarów, a w drugim przeznaczony jest wyłącznie dla młodszej dziatwy, zaczynającej i kończącej dopiero naukę czytania.

Reszta zaś wydawnictwa służy dla panienek i chłopczyków już stałej oddanych nauce.

W obu tych częściach redagowanych odpowiednio do swego przeznaczenia, mieszczą się: powieści i powiastki, obrazy historyczne, artykuły naukowe, wiadomości z przemysłu, nowe wynalazki i odkrycia, podróże, życiorysy różnych znakomitości, poezye, bajki, zagadki, myśli itd.

Pomimo obniżonej ceny prenumeracyjnej, co rzeczywiście zrobiło *Przyjaciela Dzieci* najtańszem pismem, ze wszystkich dotąd wychodzących w kraju, nic nie pominiemy w przyszłości takiego, co tylko do jego prawdziwego ulepszenia przyczynić się może. Doświadczenie i rady rozumne, zadanie to niezmiernie już ułatwiły: wspomagani niemi pójdziemy dalej w raz obranym kierunku, a że ten jest dobry po siedmioletniej mozolnej pracy, zyskał uznanie i poparcie, najlepiej świadczą licznie odbierane korespondencje i corocznie zwiększająca się liczba prenumeratorów.

W jednej z poprzednich odezw, wzywaliśmy Matki i Ojców o poparcie naszego wydawnictwa, nie odmówiono go nam: dziś ponawiamy to pewni, że głos nasz w tak ważnej sprawie, równie życzliwie przyjęty zostanie.

Wymagamy niewiele, tylko **dwugroszowej dziennie ofiary** na korzyść dziatwy. Poniesienie jej acz tak malutkiej i nic prawie znaczącej sowicie się wynagrodzi. **Co uczynicie jednemu z maluczkich, mnie uczynicie,** a historya ludzkości poucza, że szczęście, potęga lub upadek każdej społeczności, jedynie od sposobu wychowania młodego pokolenia zależy.

Jeżeli więc chcemy, aby dziatwa nasza stała się chlubą kraju a nie jego wstydem, aby gmach ogólnej pomyślności nie na piasku się wznosił ale na opoce, uczmy dzieci nawet w zabawie, od pierwszej chwili ocknienia się w nich myśli, jak mają stać się zacnemi i rozumnemi. **Przyjaciel Dzieci** wielce to ułatwi, a że usługę tę spełnia sumiennie, odwołujemy się do tych co czytając go pojęli jego zasady i środki, jakich w tym celu używa.

Jako dowód tego uznania, donosimy Prenumeratorom naszym, że znakomity nasz pisarz **I. J. Kraszewski** pragnąc wspomagać usiłowania redakcyi przygotował dla Przyjaciela powieść p. t. *Bracia mleczni,* której druk z początkiem roku przyszłego rozpoczniemy. W długim zawodzie jego pisarskim będzie to pierwsza praca podobnego rodzaju, mamy więc nadzieję że za tak pięknym przykładem pójdą inni słynni nasi powieściopisarze, i że pismo nasze zapewni sobie współpracownictwa najpierwszych talentów, wyłącznie dotąd dla osób dojrzałych pracujących.

Zniżona cena prenumeraty wynosi:

w Warszawie		na Prowincyi i w Cesarstwie	
Rocznie . .	rs. 3	Rocznie . . .	rs. 4
Półrocznie .	rs. 1 k. 50.	Półrocznie . .	rs. 2
Kwartalnie .	rs. k. 75.	Kwartalnie . .	rs. 1

Prenumerować można w Warszawie we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism perjodycznych.

W Cesarstwie i Królestwie *najlepiej* za pośrednictwem *Redakcyi,* przysyłając należytość pod adresem do **J. K. Gregorowicza Redaktora Przyjaciela Dzieci przy Ulicy Żabiej Nr. 956.**

ZORZA

DLA LUDU WIEJSKIEGO I MIEJSKIEGO

Pismo illustrowane pod *wyłącznym kierunkiem J. K. Gregorowicza* z zupełną zmianą dotychczasowego sposobu jéj redagowania, a z przeznaczeniem główném dla służby wiejskiej i miejskiej, tak pokojowej jak i przy roli pracującej, oraz dla czeladzi i uczniów rzemieślniczych, wychodzić będzie w roku przyszłym w pół arkuszu dużym po cenie prenumeracyjnej również niezmiernie niskiej, a wynoszącej:

w Warszawie rocznie	rs.	2	kop	40
Na Prowincy i w Cesarstwie i Królestwie z opłatą pocztową i opakowaniem . .	rs.	3	„	—
Kwartalnie w Warszawie.	„	—	„	60
Na Prowincyi.	„	—	„	75

Na wszystkie te pisma czy pojedynczo czy razem, należytość prenumeracyjną prosimy przesyłać *wprost* do Redakcyj pod adresem do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956.

N. 51. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku i zawiera. Opowiadanie o Jasiu. — Kolenda. (wiersz). — Pogadanki z Ojcem. XV. — Czyny nauczające. — Grzegorz Bączek, przez Kurpia, z drzeworytem; (dokończenie). — Port Kanton, (z ryciną). — W dodatku: Odpowiedź bez na myślu, (z drzeworytem). — U babci na wsi V. — Kogo pochwalicie, (wiersz) Józefa Chmielewskiego. — W łódce [illegible] jeziorze. — Mały kruczek, (wiersz) Józefa Chmielewskiego. Mali opiekunowie. — Wioska Aguri (z ryciną.) — Uważne dzieci. — Sowa. — Rozmowy z Mamą.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz

Dodatek

JOHN SCROOGE

POWIASTKA.

NA BOŻE NARODZENIE

PRZEZ

Karola Dickens'a.

(Dokończenie.)

Żaden głos nie wyrzekł tych słów do Scroog'a, a jednak patrząc na łóżko słyszał je wyraźnie. „Gdyby ten człowiek mógł ożyć, pomyślał sobie, jakby też teraz osądził wszystkie postępki i dążenia swoje? otóż jaki mu zgotowały koniec: skąpstwo, nieużytość, samolubstwo, oschłość serca i żądza zysków....

I oto leży w tym ciemnym i opustoszałym pokoju, i nie ma ani jednego mężczyzny, kobiety lub dziecka któreby stanęło przy śmiertelnem jego łożu, ze słowami współczucia lub pociechy, nikogo ktoby mógł powiedzieć. „On okazał się dla mnie dobrym i życzliwym, w tej lub owej okoliczności, teraz z kolei ja będę dobrym dla niego, choćby przez pamięć na jedno poczciwe słówko." I nie ma ani żywej duszy, tylko kot jakiś dziki drapał do drzwi, a pod progiem wyraźnie słychać było hałas spowodowany przez szczury przegryzające podłogę. Po co tak natarczywie dobijały się do pokoju, w którym leżały martwe zwłoki? czemu tak zajadle starały się przegryźć dziurę w podłodze? o tem Scrooge myśleć nawet nie chciał.

— Duchu, rzekł jakże to okropny obraz; nauka jaką w nim wyczytałem, nigdy nie zatrze się w mej pamięci— ale zaklinam cię, opuśćmy to miejsce.

Ale widmo nie ruszało się z miejsca, i nieruchomym swoim palcem, wskazywało mu ciągle głowę zmarłego.

— Rozumiem cię, duchu, odrzekł i chciałbym być posłusznym—ale nie mogę, sił mi do tego brakuje.

Widmo wpatrzyło się w niego nadzwyczaj bacznie i opuściło palec.

— Duchu, jeśli w całem mieście jest choć jedna osoba, na którejby śmierć tego człowieka uczyniła jakieś wrażenie, zaklinam cię, pokaż mi ją.

Duch, jakby skrzydłem, powiał przed sobą rogiem swej szaty, i zaraz Scrooge zobaczył pokój oświecony światłem dziennem, w pokoju tym znajdowała się kobieta i kilkoro drobnych dziatek.

Widocznie oczekiwała kogoś, miotana niewysłowionym niepokojem, bo przechadzała się niespokojnie, drżała usłyszawszy najmniejszy szelest, przysuwała się do okna, spoglądała na zegar, probowała zająć się robotą— daremnie, igła wypadała z rąk, nawet śmiech własnych dzieci raził ją i drażnił.

Nareszcie na schodach dały się słyszeć kroki, dzwonek odezwał się u drzwi. Kobieta zerwała się i pobiegła otworzyć. Niemym uściskiem powitała męża, był to mężczyzna młody jeszcze; blada twarz jego głęboki zdradzała smutek,—jednak w tej chwili dziwna w niej staczała się walka, widać było jakby gwałtem występujący na nią jakiś wyraz radości, którego się wstydził i chciał odpędzić.

Usiadł, a żona podała mu obiad oczekujący nań na gorącej fajerce, i po chwili spytała:

— Jakąż wieść mi przynosisz?

— Niedobrą, odrzekł.

— Więc grozi nam zupełna ruina?

— Nie! Karolino, jest jeszcze nadzieja....

— Że *on* da się zmiękczyć i uprosić.... o! wierzę, mój drogi, że gdyby taki cud mógł mieć miejsce, to już możnaby się wszystkiego spodziewać..

— Nie może teraz być mowy o zmiękczeniu go, bo już nie żyje.

Dość było spojrzeć na tę kobietę, aby wiedzieć że jest dobrą i łagodną,—a jednak usłyszawszy tak niespodziewaną wiadomość, w pierwszej chwili, nie będąc panią swych uczuć, złożyła ręce jakby do modlitwy, i z głębi duszy dziękowała Bogu. Po chwili, oprzytomniawszy, sama przed sobą wstydziła się tego uczucia, niemniej jednak było ono najpierwszem jej wrażeniem.

— Mówiłem ci wczoraj, że gdy chciałem się z nim widzieć, aby wyprosić zwłokę wypłaty, jakaś pół-pijana kobieta powiedziała mi, że nie mogę się z nim widzieć gdyż jest bardzo chory,—pewny byłem, że to prosty wykręt żeby mnie się pozbyć, tymczasem on był wtedy już konający.

— Komuż teraz będzie przekazana nasza należność?

— Nie wiem, ale za nim spadek będzie uregulowany, zdołam zebrać wymagalną summę, a w najgorszym już razie, gdybym nawet nie był w stanie uiścić się w zupełności, toć prawie niepodobna aby i następca czy tam spadkobierca jego, był równie jak on nieużyty i nieubłagany. Pociesz się więc, droga Karolino, po tylu bezsennych nocach, dziś pierwszy raz możem spać spokojniej.

I tak, mimo ich woli, wielki ciężar spadł im z serca. Dzieci nie mogły rozumieć znaczenia tej rozmowy, której słuchały oparłszy główki na kolanach rodziców, a jednak twarzyczki ich zarumieniły się, oczy żywszem zajaśniały weselem. Tak więc duch ukazał Scrooge'owi, że jedynem wrażeniem jakie wywołała śmierć tego człowieka, było radośne wzruszenie.

— Duchu, rzekł Scrooge, tajemny jakiś głos mówi mi, że zbliża się godzina naszego rozstania,—czuję to, choć nie wiem jak się to stanie, nim to nastąpi powiedz mi proszę, kto był ten człowiek którego ukazałeś mi leżącego na marach?

I znów duch przyszłości uniósł go swem skrzydłem, nie zatrzymując się nigdzie, jak gdyby pilno mu było co prędzej stanąć u celu.

W tem Scrooge poprosił go, aby zatrzymał się chwilę.

— Dziedziniec ten pod nad którym przelatujemy tak prędko jest miejscem w którem przez tak długie lata koncentrowały się najgłówniejsze moje zajęcia; poznaję dom mój, duchu pozwól mi zobaczyć co zemną kiedyś będzie.

Duch zatrzymał się, ale inny punkt wskazywał ręką.

— To dom mój, duchu, dla czego koniecznie każesz mi iść dalej?

Nieubłagany palec nie zmieniał kierunku. Scrooge nagłym zwrotem podsunął się do okna swego kantoru, i spojrzał wewnątrz pokoju. Widział kantor, ale zupełnie inny; urządzenie było zupełnie inne, ktoś inny siedział przy biórku. Duch znowu dał znak palcem.

Scrooge powrócił do niego, zadając sobie pytania, dla czego nie widział się przy swojem biórku i co się z nim stać mogło?

W tem stanęli przed żelazną kratą; zanim ją przeszli Scrooge obejrzał się w około.

Był to cmentarz: tu zapewnie, przyrzucony garstką ziemi, spoczywa nieszczęśliwy którego chciał wiedzieć nazwisko.

Piękne było to miejsce wiecznego spoczynku. Wysoki mur otaczał je dokoła, szerokie regularne ulice wysadzone były drzewami, tu i owdzie wznosiły się wspaniałe grobowe pomniki, pod których opiekuńczem skrzydłem kryły się ciche, odarniowane mogiły.

Duch stanął wśród grobowców i jeden z nich wskazywał palcem. Scrooge zbliżył się ze drżeniem. W widmie żadna nie zaszła zmiana, jednak Scrooge'owi zdawało się, że poważna jego postać nową zwiastowała mu wróżbę, i niewymownie był przestraszony.

— Zanim zbliżę się do tego grobowego kamienia, duchu, odpowiedz mi, błagam, na jedno tylko pytanie. Czy wszystko to są obrazy tego co *koniecznie być musi*, czy tylko tego *coby być mogło*?

Za całą odpowiedź duch opuścił palec ku mogile przy której stali.

— Duchu, raz jeszcze zaklinam cię odpowiedz mi. Gdy ludzie przedsiebiorą jakieś kroki, w celu doprodzenia do skutku pewnych zamiarów, mogą one zwiastować im pewne nieuchronne następstwa, jeśli dotrwają w postanowieniu— lecz jeśli odstąpią od niego, natenczas unikają owych następstw. Czyż takie same mają znaczenie obrazy, jakie mi stawiasz przed oczy?

Ale duch nie wyrzekł ani słówka. Scrooge powlókł się do mogiły drżąc ze strachu, i idąc za kierunkiem wskazywanym palcem widziadła, na opuszczonéj grobowej płycie, własne przeczytał nazwisko:

JOHN SCROOGE.

— A więc to ja byłem tym człowiekiem leżącym tam na marach? zawołał rozpaczliwie załamując dłonie.

Palec ducha zwracał się naprzemian od niego do mogiły i od mogiły do niego.

— Nie! Nie! duchu, powiedz że nie!

Palec nie zmieniał kierunku.

— Duchu! błagał, czepiając się szaty widma posłuchaj mnie, zaklinam cię! Nie będę już takim jak byłem dotąd, jakim zostałbym gdybym nie poznał ciebie.... Czemuż ukazujesz mi te okropności, jeśli nie ma już dla mnie żadnéj nadziei ratunku?

Po raz pierwszy duch lekko poruszył ręką.

— Dobry duchu, wołał Scrooge, rzucając mu się do nóg, i kornie czołem uderzając o ziemię, ty ulitujesz się nademną, ty wstawisz się za mną! Uspokój mnie upewnieniem, że zmieniając postępowanie mogę jeszcze odmienić przyszłość.

Ręka ducha poruszyła się przyjaźnie.

— Odtąd będę czcił całem sercem Boże Narodzenie, i starać się będę cześć tę cały rok nieskalanie przechowywać w méj duszy. Odtąd żyć będę myśląc o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości,

i ani na chwilę nie zapomnę nauk udzielonych mi przez trzech duchów, które mi się objawiły. Ach! powiedz mi, że mogę zatrzeć napis wyryty na tym grobowym kamieniu.

I niewysłowioną dręczony obawą, pochwycił rękę ducha przytrzymując ją z całej siły; lecz widmo szarpnęło się i odepchnęło go od siebie.

Scrooge błagalnie złożył dłonie chcąc wymodlić u ducha zmianę swego losu, w tem zdało mu się, że szata widma zmienia się i cała postać maleje coraz więcéj, aż nareszcie—zmieniło się w filar od łóżka.

CZĘŚĆ PIĄTA.

Zakończenie.

Był to więc filar od łóżka, a co więcéj jego własnego łóżka, stojącego w jego własnym pokoju.

Tak więc jutro należało do niego, mógł jeszcze poprawić się i nowe rozpocząć życie.

„Chcę żyć w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości! wołał Scrooge, wyskakując z łóżka. Nauki udzielone mi przez trzech duchów niezatartemi zgłoski wyryły się w méj pamięci. O Jakóbie Marley! dzięki ci! i dzięki niech będą niebu i Bożemu Narodzeniu.... a dziękczynienie to wypowiadam na kolanach; tak, stary mój towarzyszu i wspólniku, na kolanach.

Tak był ożywiony i rozgrzany swomi dobremi postanowieniami, iż zaledwie mógł mówić ze wzruszenia; na twarzy jego były jeszcze ślady łez wylanych w rozmowie z ostatnim duchem.

— Nie zagrabione! nie zagrabione, wołał, chwytając ręką firanki od łóżka.... są na swojem miejscu.... są tu.... i ja tu jestem.... następstwa jakie mogłyby nastąpić mogą się odmienić..... i ja wiem, ja czuję, że się odmienią!...

Zaczął się ubierać, ale ręce mu drżały; w pomięszaniu kładł suknię na wywrót, szarpał, rozdzierał, rzucał na ziemię; sam nie wiedział co robi.

— Co mnie się stało? wołał, śmiejąc się i płacząc razem; i stanął na środku pokoju z pończochami w obu rękach, niby kopja starożytnego Laokoona ze swemi wężami. Co mi się stało? powtórzył, jestem lekki jak piórko, wesoły jak ptaszek, roztargniony jak człowiek podpiły. Wesołych Świąt całemu światu!.. szczęśliwego nowego roku, wszystkim i każdemu z osobna.... Hola! ho! hola! wołał zacierając ręce.

Jednym skokiem z sypialnego pokoju wbiegł do salonu, zdyszany i zgrzany:

—Oto rondelek w którym wczoraj gotowałem sobie ziółka, —wołał zaczynając znowu skakać przed kominkiem... Oto drzwi przez które weszło widmo Marley'a, a tam w kącie stał ów osobliwszy tron, na którym siedział duch obecnego Bożego Narodzenia.... tu oto okno przez które widziałem dusze pokutujące.... wszystko jest w tem samem miejscu.... więc to wszystko prawda. .. więc to wszystko rzeczywiście miało miejsce.... ah! ah! ah!....

Jak na człowieka dla którego śmiech taką był nowością, śmiał się potężnie, głośno, wspaniale, i każdy obecny z jego śmiechów był płodnym w następstwa, był ojcem licznego potomstwa serdecznych śmiechów.

— Nie wiem doprawdy który dziś dzień.... nie wiem jak długi czas spędziłem z duchami?.. Nic i nic nie wiem,—jestem jak małe dziecko.... No! to i cóż chciałbym bardzo być małem dzieckiem. He! hola! hop! hi! ha! ha!

Te wykrzykniki jego przerwał odgłos dzwonów kościelnych zwołujących wiernych na modlitwę.

Din, din, don! bum, bum! din, din, don! bum, bum, bum! din, din, doul!

— Jakto pysznie! jakto wspaniale!

I pobiegł do okna, i otworzywszy wyjrzał przez nie. Nie było ani chmur ani mgły: przymrozek, ale tak jasny i wesoły, że orzeźwiał i radował każdego, i wyraźnie jakby dmuchał, aby krew w żyłach podniecać do tańca.... A słońce takim pięknym złotawym świeciło blaskiem, dzwony dźwięczały tak radośnie!

— Ślicznie! pysznie! ale co dziś za dzień? wołał z okna do jakiegoś chłopczyka ubranego w świąteczne szaty, który zatrzymał się pod oknem i patrzył na niego.

— Co? zapytał zdumiony chłopiec.

— Jaki dzień dziś mamy? mój ładny chłopczyku, powtórzył Scrooge,

— Jaki dzień!... przecież dziś Boże Narodzenie.

— Boże Narodzenie! krzyknął, więc mnie nie minął ten dzień tak uroczysty.... duchy tyle drogi jednéj nocy odbyły ze mną.... I cóż to wielkiego! przecież każdy wie, że mają nieograniczoną władzę i mogą zrobić co zechcą.... Któżby się poważył wątpić o tem.... Hola! he! słuchaj no dobry chłopczyku!

— Słucham.

— Czy znasz sklep z mięsiwem i drobiem na rogu ulicy?

— A któżby go nie znał.

— Ach! jakież to miłe, roztropne dziecko, rzekł Scrooge do siebie, a zwracając się do chłopca, zapytał: Słuchaj kochanku, nie uważałeś czasem czy olbrzymi jendor co stał wczoraj w wystawie sklepowéj, jest tam jeszcze .. ten taki ogromny.

— Aha! wiem, prawie większy odemnie.

— Co za rozkoszny chłopczyna! prawdziwa przyjemność z nim rozmawiać... No jakże koteczku, czy jendor stoi w wystawie?

— O! stoi, proszę pana.

— Doprawdy! zawołał uradowany Scrooge; to, kochanku idź go kup.

— Oj! oj! żarty się pana trzymają.

— Nie, rybko kochana, ja nie żartuję; idź i każ go tu przynieść, a ja dam adres gdzie go mają odnieść. Wracaj prędko, a dam ci szellinga za drogę.... a nawet słuchaj jeśli razem z jendorem wrócisz za dziesięć minut, dostaniesz talara.

Chłopiec poleciał jak strzała.

— Poślę go Bobowi Kratchit, mówił sobie Scrooge, zacierając ręce i śmiejąc się głośno; ani się domyśli kto mu go przysłał. Jendor prawie większy niż Tiny-Tom; toż to dopiero będzie uciecha!...

Ręka mu trochę drżała, ale jednak napisał adres, poczem zszedł na dół, aby otworzyć chłopcu ze sklepu. Czekając tak na niego, spojrzał na klamkę.

— O klamko! całe życie będę cię lubił i będę ci wdzięczny wołał głaszcząc ją ręką... No! proszę! i do tego czasu nigdy nawet nie spojrzałem na nią.. a jaki ona ma poczciwy wyraz fizyognomji!... dobra! milutka klamka!.... Ale otóż i chłopiec z jendorem! Hoja he, hop! hop! wesołych świąt!

To dopiero był jendor! nie! to niepodobna aby mógł za życia ustać na nogach, byłyby się złamały pod nim jak laseczki laku....

Ale! ale! rzekł Scrooge do chłopca, niepodobna żebyś szedł piechotą taki ogromny kawał drogi; masz na omnibus.

Śmiech z jakim to powiedział, śmiech z jakim zapłacił za jendora, śmiech z jakim dał chłopcu na omnibus, i śmiech z jakim drugiemu wypłacił przyobiecanego talara, może być tylko porównany z szalonym śmiechem, jakim zanosił się po ich odejściu, rozparłszy się w fotelu.

A ileż to użył trudu zanim nareszcie ogolił się tak drżącemi rękami, boć to przecie operacya wymagająca uwagi, a Scrooge posuwał brzytwą po brodzie a obok tego różne hopki wyskakiwał po pokoju,—ale wierzcie mi, gdyby był nawet uciął sobie kawałek nosa, byłby najspokojniej w świecie przylepił plasterek angielskiej kitajki, nie tracąc dobrego humoru.

Nareszcie ubrawszy się w najlepsze jakie miał szaty, wyszedł przejść się po ulicach: spotykał wszędzie takie same tłumy, jak widziane w nocy, w towarzystwie ducha teraźniejszego Bożego Narodzenia. Przypatrywał się wszystkim i wszystkiemu z wielkiem zadowoleniem, i tak pogodny uśmiech błąkał się na jego ustach, że wiele osób przechodzących nie mogło się powstrzymać od powitania go życzeniem wesołych świąt. Później Scrooge rozpowiadał, że słowa te wydały mu się najmilszą muzyką, jaką kiedykolwiek w życiu swojem słyszał.

Przeszedłszy parę ulic, spotkał się z owym poważnym panem, który wczoraj był w jego kantorze, z prośbą o składkę dla biednych. Poznał go gdy jeszcze był o kilka kroków, i ostry ból przeszył mu serce, na samą myśl jakie to spojrzenie rzuci na niego ów szanowny pan, gdy się mijać będą,—ale jednocześnie zrozumiał co mu uczynić należy, i postanowił wykonać to niezwłocznie.

— Jak się pan miewa, szanowny panie, rzekł chwytając jego rękę, którą serdecznie uścisnął: spodziewam się że zaszczytne trudy jakie pan sobie zadajesz, zostały wynagrodzone bogatym plonem,—zapewnie musiałeś pan dużo uzbierać wczoraj?

— Pan Scrooge? rzekł z zadziwieniem zapytany.

— Tak,—ale zapewnie nazwisko moje nie koniecznie miłe robi na panu wrażenie,—racz pan pozwolić abym je odmienił, i chciej łaskawie... (Tu szepnął mu coś do ucha.)

— Ależ to niepodobna! zawołał, własnym nie wierząc uszom,—kochany panie Scrooge, czy nie żartujesz czasem?

— Bynajmniej, szanowny panie, ani feniga mniej i jeszcze zrobisz mi pan łaskę, dozwalając tym sposobem spłacić zaległe rachunki. Czy raczysz pan pofatygować się do mnie?

— Jak najchętniej, kochany, szlachetny, panie Scrooge; doprawdy nie wiem jak mam dziękować za dar tak wspaniałomyślny.....

— Nie ma o czem mówić, szanowny panie... Czy raczysz przyjść do mnie? nie odmawiaj mi proszę.

— A! mógłżebym odmówić, odrzekł, ściskając serdecznie rękę Scrooge'a,—i można było wyczytać z jego twarzy, że najniezawodniej dotrzyma przyrzeczenia.

— Ach! stokrotnie dziękuję; nie wystawisz pan sobie jak nieskończenie wdzięczny ci jestem, za nastręczenie mi sposobności wynagrodzenia opuszczonego dobrego uczynku.

Rozeszli się, a Scrooge wszedł do kościoła; od wielu lat nie bywał na nabożeństwie, uważając je za czcze formułki, za czas marnie stracony. Dziś ujrzawszy tłumy osób różnéj płci i wieku, pobożnie się modlących, i sam modlić się zapragnął; kolana jego zgięły się mimowolnie i zaczął szeptać słowa pacierza. Pierwszy raz zrozumiał znaczenie i wzniosłość téj boskiej prawdziwie modlitwy, i poznał w jakiej rozkoszy dusza zatonąć może rozmawiając z Bogiem.

Wyszedłszy z kościoła zaczął znów przechadzać się po ulicach; przyglądał się przechodniom, głaskał

napotykane dzieci, wypytywał żebraków o ich potrzeby; to znów rzucał ciekawe spojrzenia do kuchen i mieszkań; wszystko go zajmowało i bawiło. Dawniej nie miał pojęcia, żeby prosta przechadzka, żeby cokolwiek bądź mogło mu tyle sprawić przyjemności. Po południu zwrócił swe kroki w stronę miasta, gdzie mieszkał jego siostrzeniec. Kilka razy tam i napowrót przeszedł przed bramą, zanim zdobył się na odwagę zapukać do drzwi. Zadzwonił nareszcie.

— Czy jest pan w domu, moje dziecię? zapytał służącej.

— Jest, panie,—oboje państwo są w pokoju jadalnym, racz pan wejść do salonu. Kogoż mam zameldować?

— Nikogo, moje dziecko, pan twój zna mnie dobrze, wejdę do pokoju jadalnego.

Uchylił lekko drzwi i spojrzał przez szparę. Młodzi małżonkowie stali obok nakrytego stołu, przypatrując się, czy wszystko jest w porządku. Przystrojenie stołu zdradzało, że gospodarstwo spodziewają się gości.

— Alfredzie! zawołał Scrooge.

— Usłyszawszy te słowa, żona Alfreda drgnęła; a Scrooge przypomniał ją sobie grającą w *tak* i *nie* i możecie miarkować co się w nim działo.

— Boże odpuść! któż to mnie woła?

— Ja! ja! zawołał Scrooge, przychodzę do was na obiad, czy mnie przyjmujesz?

Siostrzeniec poskoczył ku niemu śpiesznie i o mało nie zjadł z radości,—po upływie kilku minut, Scrooge czuł się tak swobodnym jakby w własnym domu. Alfred i przybrana siostrzenica przyjęli go jak najserdeczniej przybyli goście byli dla niego jak najuprzejmiejsi; bawiono się w gry, tańczono, śpiewano, Scrooge ubawił się i uśmiał serdecznie, tym więcej, że nikt teraz nie porównywał go o niedźwiedzia, i, za przeproszeniem—do wi...

Nazajutrz Scrooge wstał raniej jeszcze niż zwykle i co prędzej zeszedł do kantoru, bo chciał koniecznie pochwycić Boba, na gorącem uczynku spóźnienia,— i tak się też stało.

Zegar wybił dziewiątą, potem kwadrans na dziesiątą— a Boba nie ma, wszedł nareszcie, ale spóźnił się o ośmnaście minut. Scrooge ręce zacierał z radości. Drzwi do ciemnéj izdebki Boba otwarte były na rozcież, mógł więc dobrze widzieć wszystko.

Bob jeszcze w sieni, zanim drzwi otworzył, zdjął kapelusz i szalik, (żeby nie tracić czasu) i co prędzej zasiadł do roboty, i pióro jego szybko biegało po papierze jakby chcąc wynagrodzić opóźnienie.

— Hola! mruknął Scrooge, tonem jakim przemawiał dawniej; a to co znowu żeby tak późno przychodzić!

— Przepraszam pana najmocniej, rzekł pokornie Kratchit, rzeczywiście spóźniłem się,—ale to z powodu Bożego Narodzenia—położyłem się znacznie później,...

—Aha! z powodu Bożego Narodzenia!,Chodź no tu mości Bobie, a gdy ten zbliżył się nie śmiało, dodał grubym głosem. Nie mogę ścierpieć aby nadal rzeczy pozostały jak są, poczem śmiejąc się, zerwał prędko z fotela, wymierzył Bobowi tęgiego boksa w bok, tak że biedaczysko, aż się zachwiał na nogach, i dodał wesoło: I dla tego to, od dziś dnia podwajam twoją płacę.

Bob odskoczył jak oparzony i pochwycił linję leżącą na jego biórku, innéj broni odpornéj nie było pod ręką. Najpewniejszy, że Scrooge oszalał, przysuwał się już do okna chcąc zawołać o pomoc, związać go i odwieźć do domu warjatów.

— Wesołych świąt, poczciwy Bobie, rzekł Scrooge głosem tak spokojnym, iż nie można było bać się że dostał pomięszania, i uderzając go przyjaźnie po ramieniu dodał: Wesołych Świąt, mój chłopcze, życzę ci na raz tyle szczęścia, ile powinienem był życzyć ci przez tyle świąt ubiegłych. Tak więc od dziś dnia podwajam twoją płacę, i prócz tego będę się starał dopomódz twojej pracowitej rodzinie. Ale pomówimy o tem wieczorem, przy dobrym ogniu kominkowym, i przy wazie gorącego ponczu. Nie bój się, nie będziem sobie żałować węgli.

Scrooge dotrzymał słowa; Tiny-Tom nie umarł, bo miał dobrego doktora i wszelkie wygody, wyrósł więc zdrów i tylko nieco utykał na nogę.

Odtąd nikt daremnie nie wzywał jego pomocy, to też całe miasto szanowało go i błogosławiło. Wprawdzie byli i tacy co szydzili z jego odmiany, mówiąc że niepotrzebnie marnuje pieniądze, ale Scrooge nie zważał na ich gadaniny.

Od owej chwili żaden już duch go nie nawiedził, ale za to miał wielu przyjaciół i znajomych, którzy odwiedzali go często, serdecznie zapraszali do siebie i zawsze w licznem gronie spędzał święta Bożego Narodzenia, nie zapominając także o biednych i smutnych, których wspierał i pocieszał wedle swej możności.

KONIEC.

Przegląd teatralny.

Oczekiwani Goście. Obrazek sceniczny w 1 akcie, z niemieckiego.
(pierwsze przedstawienie 20 Grudnia r. b.)

I znowu scena nasza wzbogaciła się jedną więcéj ramotą. Nie wiemy z czyjéj insynuacyi ani za czyjem pośrednictwem, złego smaku niemiecka ta farsa dostała się do naszéj dramatycznéj skarbnicy; nic nas to nie obchodzi; ale to pewna, że naraziła nas na stratę czasu bez żadnéj estetycznéj indemnizacyi. Nie dla tego, że to farsa. Obstajemy, owszem, za farsami, które pustotą serdecznych swych uśmiechów rozmarszczają nam znużone pracą czoła; ale nie do liczby takich należą *Oczekiwani Goście*, na których z pewnością nikt z nas nie oczekiwał. Może to być wreszcie przysmak dla niemieckich widzów w ogródkowych teatrach, gdyż oni widzą tam poniekąd samych siebie, stroną lokalizmu stykają się z treścią, i z takiego zetknięcia wyniknąć może pewna sympatija pomiędzy sceną i salą. Lecz dla nas z natury rzeczy pozbawionych tego środka elektryzującego, pozostaje tylko wrażenie ujemne, którem, z kronikarskiéj jedynie konieczności musimy podzielić się z czytelnikiem.

W pewnéj wsi niemieckiéj, niechaj będzie Wejsenfeld, oczekują na wielkiego gościa, którym jest mistrz książęcego dworu jadący ze stolicy na spotkanie konkurenta do ręki księżniczki. Do oczekujących należy tak zwany tu Rządca (zapewne Vogt) wsi, i dwoje młodych wieśniaków którzy chcą się pobrać, a Rządca odmawia im pozwolenia. Rządca przygotowuje wspaniałą mowę na cześć Jego ekscelencyi, kochankowie przygotowują się prosić o pozwolenie małżeństwa. W tem przybywa jakiś właściciel słonia, którego wszyscy oczekujący biorą za laufra Jego ekscelencyi; on im prawi, że za jakąś godzinę ma nadjechać wielki gość, rozumiejąc pod tym wyrazem słonia, a oni w nieporozumieniu biorą znów słonia za Jego ekscellencyję; rozkazuje przygotować dla oczekiwanego stajnię, kilka bochenków chleba i dwa wiadra wody do wylania mu na głowę. Kochankom, chcącym go ująć radzi, ażeby go głaskali, pokazywali mu cukier z ręki, a w ostatku, gdyby się stawiał ostro, użyli pięści. Ci naiwni ludziska dziwią się tylko szczególnym gustom i narowom Jego ekscellencyi, ale biorą to w dobréj wierze, i za zjawieniem się mistrza dworu, literalnie stosują do niego zalecenia mniemanego laufra. Ztąd powstają na scenie, mistrz dworu sądzi, że ma do czynienia z waryjatami, oni że Jego ekscellencyja cierpi bziki..... dopóki rzecz się nie wyjaśniła; i oto cała osnowa sztuki. Zasłona spada na wspólnem zadowoleniu, tylko nie widzów, dla których spadła trzy kwadranse zapóźno.

Powiedzmy prawdę: złudził nas afisz. Byliśmy pewni, że treść odpowie użytym środkom wykonawczym; boć jeżeli do jednego aktu użyją się takie siły jak panna Popielówna, pp. Rapacki, Chomiński i Szymanowski,—toć to nie musi być na żart. Zaraz nam przyszło na myśl, ażali to nie będzie coś nakształt tego ekscentrycznego ale pełnego wdzięku i poezyi *Hansa Jurgi*, a może coś wesołego jak *Partija Pikiety* lub *Uściskajmy się*, gdzie pomimo krótkości trwania, siła treści wymaga silnego tłumacza Tymczasem jest, to sobie niesmaczne *quiproquo*, tę chyba mające zasługę, że się obeszło bez myśli i dowcipu, a jednak wywołało śmiech... . dzielną grą artystów. O! ale nie dziwo, że u króla piękna żonka. Jeżeli już uznanem jest za właściwe i koniecznie, ażeby scena od czasu do czasu wyprowadziła tak błahą facecyjkę dla uciechy jakiejś tam nie wiem, części publiczności, zastępując niby teatr tak zwany, ludowy, (niemiecki, *Zweites-theater*), to niechże i siły wykonawcze wedle miary treści rozmierzy. Niech to będzie ćwiczenie i popis dla młodszéj generacyi artystów, młodszych niekoniecznie wiekiem ale stanowiskiem artystycznem, dla kryjących się w cieniu poza pierwszorzędnemi jednostkami. Byłoby to może właściwsze spożytkowanie ich, niż w ustawicznych rolach lokajów annonsujących, notaryjuszów odzywających się przez sekund kilka, subretek, i tym podobnych statystów. Ale dla rzeczy tak wiotkich i co do osnowy i co do zadania artystycznego odrywać pierwszorzędności sceniczne, zajmować im myśl i czas mogący posłużyć do tłumaczenia dzieł rzeczy wistéj wartości, to doprawdy ekonomika dla nas niezrozumiała.

K. Kaszewski

---

wadzi. Cóż dopiero mówić, kiedy po kilku, lub kilkunastu dniach, a nawet tygodniach, taż sama pani poszle znów do sklepu po tak kłopotliwy dla Merkurego produkt, i nieszczęśliwym trafem od składnika masło jéj się dostanie; wtenczas już zupełny rozbrat z Merkurym, a nawet i namowy żeby mąż wystąpił ze Stowarzyszenia. Dla uniknienia tak szkodliwych Stowarzyszeniu wypadków, sklepowe są jak najmocniéj obowiązane, ażeby nie trzymając się przysłowia „każdy kupiec swój towar chwali"—przestrzegały panie, jeżeli masło jest wypadkiem mniéj dobre i nie z pierwszéj ręki, bo i tak się rozsprzeda mniéj wybrednego smaku stowarzyszonym, z tą jedyną stratą, że na czasie i obrotach się traci. Jeżeli przeto nasze szanowne panie podobnych zawodów uniknąć chcecie, raczcież iść w pomoc Zarządowi, nakłaniając mężów mających stosunki z właścicielami dóbr w okolicach blizkich Warszawy, lub kolei żelaznych, ażeby bez pośrednictwa pachciarzy wprost do Kantoru przy ulicy Podwal Nr. 17 w Hotelu Sławiańskim, dawniéj Giersza masło przysyłali, gdzie każdą przesyłkę natychmiast zważoną i po cenach możebnych, to jest takich, a nawet nieco wyższych w miarę dobroci masła, jakie hurtowni składnicy dają, niezwłocznie kasjer wypłaci. Jeżeli zaś ten towar koleją żelazną ma być przesyłanym, to, jak tylko stanie w którymkolwiek z dworców kolei, czy to Wiedeńskiéj, bądź Petersburskiéj, bądź Terespolskiéj, po nadesłaniu przez producenta fraktu kolejnego, Zarząd natychmiast wyszle własną furmankę, i w obecności upoważnionego przez producenta i jednego z Członków Zarządu towar się odważy, kasa zaś należytość bądź właścicielowi, bądź upoważnionemu przezeń posłańcowi, niezwłocznie wypłaci, lub też przez pocztę, albo na przekaz, stosownie do życzenia sprzedającego odeszle. Im zaś dostawcy staranniéj masło od maślanki oddzielą, to jest im lepiéj je wypłóczą, im ściśléj w faskach utłoczą, a solonego zbyteczną ilością soli nie przepełnią, jak się to w tak zwanem litewskim maśle prawie zawsze zdarza; tem śmieléj Zarząd im cenę ofiarować może, która utratę wagi, przez dokładne oddzielenie maślanki od masła, to jest przez staranne płókanie, nie wielką stratę na wadze z górą wynagrodzi; następnie zaś Zarząd przy znacznie powiększonéj w tych warunkach sprzedaży, licząc na obrót kapitału, na niższym procencie poprzestać, a tem samem masło po niższych cenach będzie mógł sprzedawać. Tak przyrządzone masło daleko dłużéj świeżość zachowuje, i nie grozi stratą na jaką kupujący jest narażony, gdy odpowiednio do gatunku, w kilka dni, a choćby w parę tygodni, masło nie solone jako przestarzałe posolić, i po niższych cenach jak było zakupione, aby się ego jak najspieszniéj pozbyć, sprzedawać jest zniewolonym.

Obok interesów o masło nastręczyć się mogą układy o dostawę innych produktów, np. mąki, kaszy, pszennego pośladu, sera, jaj, powideł, śliwek i innych owoców suszonych, cebuli, czosnku, kartofli, kopru, siemienia konopnego, i t. d., a jeżeli wszystkie te artykuły z pierwszéj ręki będą zakupione, to i Merkury nie będzie niezadowoleniem pań zakłopotany, czoła wybrednych nawet mężów z przyczyny masła przy stole lub herbacie nigdy się nie zachmurzą, i stowarzyszenie prędzéj dopnie celu w jakim założone było, to jest będzie regulatorem pomiernych cen towarów spożywczych w całéj Warszawie. Jestem albowiem mocno przekonany, że współudział stowarzyszonych, a szczególniéj naszych dam, więcéj Merkuremu pomoże, niżeli potrójny nawet komplet obecnego Zarządu.

K. Massalski.



N. 1. Ubranie wizytowe z chusteczką i falbanami. Krój i opis spódnicy w dodatku N. VI Fig. 18—22.

N. 2. Ubranie wizytowe z polonezką. Krój polonezki w N. 48.

N. 3. Ubranie z chusteczką muślinową. Krój chusteczki i opis w dodatku N. IV. Fig. 13.

N. 4. Suknia z falbanami przybrana koronką. Krój i opis powłóczystéj spódnicy w dodatku N. VI.

N. 5. Ubranie dla małéj dziewczynki.

N. 6. Ubranie wizytowe lub spacerowe. Krój i opis krótkiéj spódnicy na dodatku N. VI. Fig. 18—22.



N. 7. Suknia z vêtement.
N. 8. Suknia z półwyciętym stanikiem.

N. 9. Suknia z zaokrągloną powłóczystą tuniką. Krój i opis tuniki w dodatku N. VII Fig. 23—26.

N. 10. Suknia przybrana kokardami.

N. 11. Suknia z tuniką ściętą śpiczasto. Krój i opis tuniki w dodat. N. VII, Fig. 23—26.

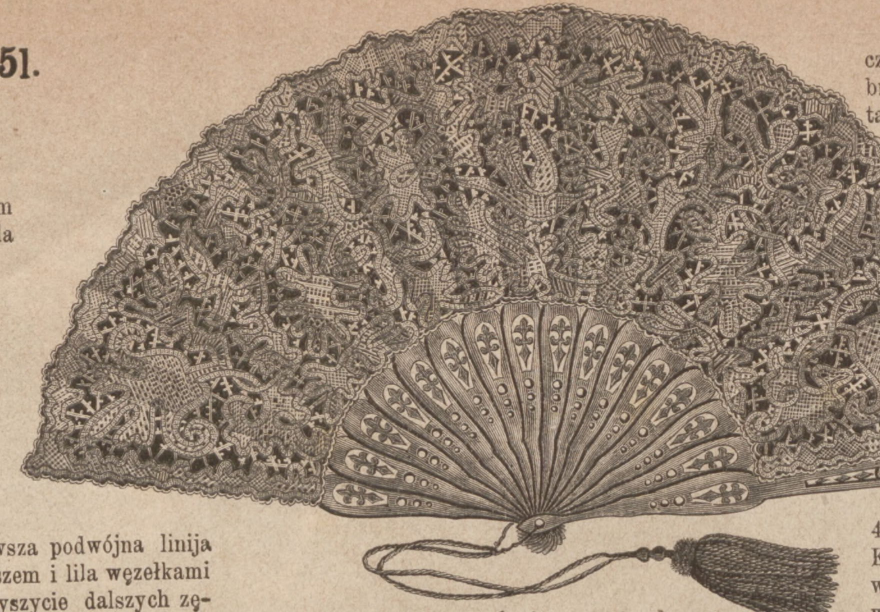
N. 12. Suknia ze stanikiem pod szyję. Krój stanika w dodatku do N. 45 i 46. N. IX. Fig. 37—40.

N. 13. Ubranie ślubne Krój i opis spódnicy z trenem w dodat. N.VI Fig. 18—22..

Opis do N. 51.

(Dalszy ciąg).

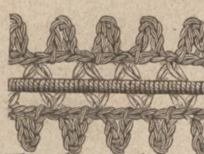
N. 6. Ekram ozdobiony haftem kolorowym. Materjał: ciały reps, lila i popielaty sutasz, sznureczek złoty, biały, lila, popielaty, zielony jedwab kordonkowy w 4 cieniach. Deseń szlaku na dodatku ryc. 31. Haft do ekramu z ciemnego rzeźbionego drzewa, wykonany jest na owalu 40 c. szerokim, a 44 wysokim. Fig. 31 podaje więcéj jak 8-mą część deseniu szlaku, otaczającego bukiet widoczny na ryc. 6. Pierwsza podwójna linija konturu szlaku wyszyta jest lila sutaszem i lila węzełkami na wyszycie dalszych zębów i na arabeski odznaczone co drugi ząb użyty jest sutasz popielaty. Na wyszycie wewnętrznych linii i na arabeski, dany jest między dwoma rzędami popielatego, złoty sznureczek. Gwiazdki ośmiolistne haftowane są lila i złotą nitką, listki ściegiem cierniowym mają żyłki złote. Bukiet środkowy jest 20 cent. szeroki a 24 wysoki, wyhaftowany kolorami. W miejsce haftu można użyć wypukłéj aplikacji lub bukiet zastąpić pięknym monogramem.



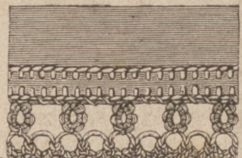
N. 14. Wachlarz zakończony irlandzką koronką.



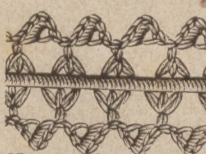
N. 18. Szarfa z gałązką kwiatów do sukni balowéj.



N. 16. Wstawka z mignardise i szydełkowéj roboty. Do ryc. 18 w N. 51 T. Mód.



N. 15. Zakończenie brzegów do poduszki ryc. 18 w N-rze 51 Tyg. Mód.



N. 17. Wstawka z mignardise i roboty szydełkowéj. Do ryc. 18 w N. 51 Tyg. Mód.

N. 7. Poduszka do okna. Deseń ażurowy odrobiony jest na płótnie écru i podłożony suknem lub rypsem wełnianym, w kolorze odpowiednim do obicia ścian i mebli. Sposób wykonania takiego haftu opisywaliśmy nie jednokrotnie w Tygodniku dodając desenie, można więc łatwo zrobić wybór, stosownie powiększając deseń. Zakończenie poduszki stanowi szeroka frendzla z dodanemi zębami i kwaścikami ze strzyżonych kulek.

N. 8—10. Przykrycie do okna. Robota na kanwie. W N-rze 52 podajemy wzór jednego zęba, zakończającego przykrycie. Deseń ten mógłby służyć i na mały dywanik, składają go mijające się gwiazdy, powtarzane kilkoma rzędami i odrobione zwykłym ściegiem, kastorową włóczką. Ryciny 9 i 10 podają także dwa wzory gwiazdek, stanowiących jeden rząd roboty i danych na przemianę. Piękność deseniu polega głównie na harmonijnem dobraniu cieniu w kolorach, co zależy od osobistego gustu. Po ukończeniu roboty pokrycie podszywa się czarnym żaknotem, a zęby brzeżne przyozdabiają zakończeniem z frendzli, 12 c. długiej, z włóczki kastorowéj. Do górnego brzegu przykrycia, dodane są pentelki ze sznura za pomocą których przykrycie przypina się do skórzanéj poduszki, opatrzonéj guzikami.



N. 24. Koszyk do papierów z haftowanym medaljonem.



N. 22. Listek robotą koronkową do ryc. 19.



N. 23. Listek robotą koronkową do ryc. 19.



N. 20. Liść bluszczu do ryc. 19.



N. 21. Liść bluszczu do ryc. 19. Ścieg koronkowy. i wywodzenie na tiulu.



N. 25. Listek do wycierania piór.



N. 26. Przyrząd do wycierania piór.

N. 11—12. Cygarnica do papierosów i tytoniu. Cygarnica taka stanowi ładny podarunek, jeźli będzie przyozdobiona własnoręczną robotą osoby ofiarującéj. Model 11 cent. długi, wierzch ma pokryty skórą ciemno ponsową brzegi zaś obite ramką mosiężną z zameczkiem. W jednéj połowie dana kieszonka na papierosy, którą można ozdobić pięknym medaljonem, haftowanym kolorami. W drugiéj połowie oprawiony jest woreczek na tytoń do robienia papierosów. Wierzch cygarnicy zdobi haftowana cyfra, bukiecik kwiatów lub monogram.

Rycina 12 podaje cygarnicę zamkniętą.



N. 27. Garnirunek z muślinu z haftowanemi gałązkami.



N. 28. Garnirunek z muślinu z haftowanemi kwiatkami.

N. 13—15. Pugilares na bilety wizytowe. Materjał czarna skóra juchtowa, niebieska mora jedwabna, jasno bronzowe paski skóry 1 cent. szerokie, do obejmowania, takiż jedwab i złote nici. Pugilares w kształcie książki z rogami zaokrąglonemi pokryty czarną skórą, przyozdobiony jest z wierzchu monogramem, odrobionym kordonkiem i złotą nitką, podług wzoru rycina 15, podanego w naturalnéj wielkości. Przypominamy tu czytelniczkom, iż dawniejsze Numera Tygodnika dostarczą im różnych wzorów na monogramy. Rycina 13 przedstawia pugilares otwarty, mający 13 i pół cent. szerokości a 11 wysokości. W każdéj połowie pugilaresu dana jest podwójna kieszonka, zwierzchnia ze skóry 4 i pół centym. dolna z mory błękitnej 5 cent. szeroka. Kieszonki te przyszyte są za pomocą paska jasno-bronzowego, przystębnowanego w około futerału.



N. 19. Szarfa z gałązką z liści haftowanych patrz ryc. 20—23.

N. 16. Czapeczka męzka. Materjał: aksamit, atłas i kordonek w odpowiednich kolorach, atłas czarny, cienka płócionka i nici złote. Deseń haftu na arkuszu dodatkowym Fig 3. Brzegi czapeczki odrobionéj bez sztywnego podłożenia, składają zęby ponsowe aksamitne ozdobione haftem, denko zaś jest atłasowe, trochę bufowane. Obwód czapeczki ma 58 centym. brzegi zaś na szczytach zębów, mają 11 i pół cent. a w zagłębieniach 7 cent. wysokości. Fig. 36 podaje deseń haftu odrobionego w kolorze aksamitu, sznureczkiem i haftem płaskim z dodaniem nici złotej. Brzegi zębów objęte są atłasem i nieznacznie przyczepione na denku, które składa się z kawałka atłasu podszytego pod zęby od spodu, 11 centy: szerokiego, zupełnie zmarszczonego na środku. Zmarszczenie to zdobi guzik, pokryty atłasem i wyszyty nitką złotą, pod którym przytwierdzony jest kwaścik z ponsowego kordonku 20 centy. długi.

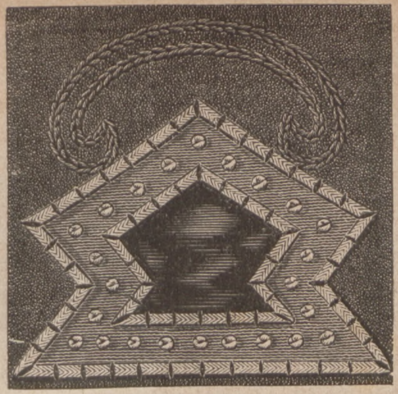
N. 17. Szlafrok męzki. Krój i opis na dodatku Nr. I, fig. 1—5. Deseń haftu Nr. VI.

N. 18—19. Poduszka do kanapy. Haft dziergany. Deseń na dodatku fig. 33—34.

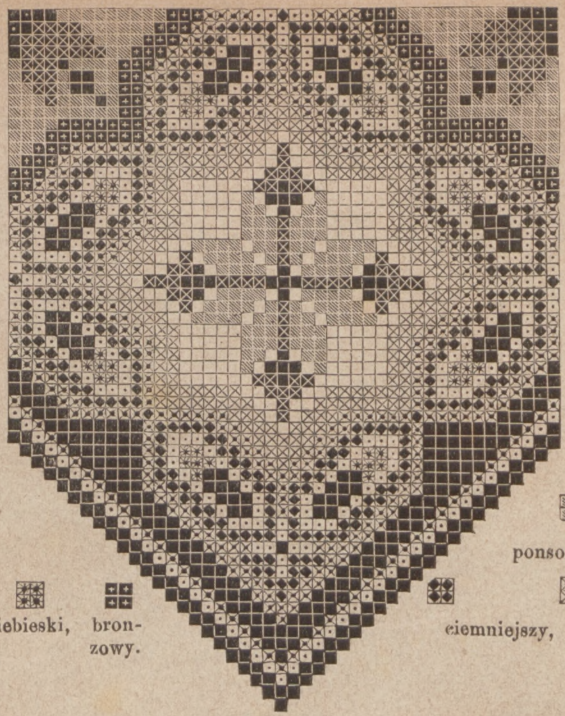
Materjał: cienkie szare płótno, białe nici, kordonek, szare nici. Deseń haftu na poduszkę z łatwością da się ułożyć podług fig. 33—34, ryc. 19 i zmniejszonego deseniu na ryc. 18. Figury podane na deseniu przegradzane są poprzeczną kratą, paski tej kraty są 1 ¼ centy. szerokie. Po odzierganiu brzegów dwoma rzędami zwróconemi ku sobie, dodaje się ściegiem luźnym podłużną kratkę na paskach, podług ry. 18, na środku zaś odznacza się gwiazdkę. Materjał pozostający po za konturami deseniu wycina się. przez co pozostaje tylko ażurowy haft. Brzegi haftu do poduszki ryc. 18

18, zakończone są szlaczkiem z dwóch rzędów dziergania i brzeżkiem robionym na widełkach, którego wzór podany w Nrze 52.

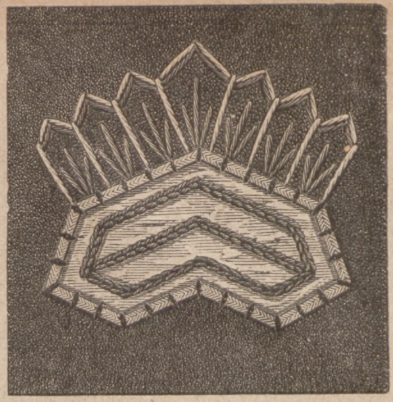
Atłas kolorowy lub materja stanowi drugie pokrycie poduszki wypchanej włosiem; z brzegów dodana jest bufa z paska materjału 6 cent. szerokiego, a 22 i centym. długiego. Brzegi poduszki liczą po 32 cent. w kwadrat.



N. 31. Arabeska do patarafki ryc. 30.



N. 29. Deseń na przykrycie do okna ryc 8 w N-rze 51 Tyg. Mód. (Ząb)



N. 32. Arabeska do patarafki ryc. 31.

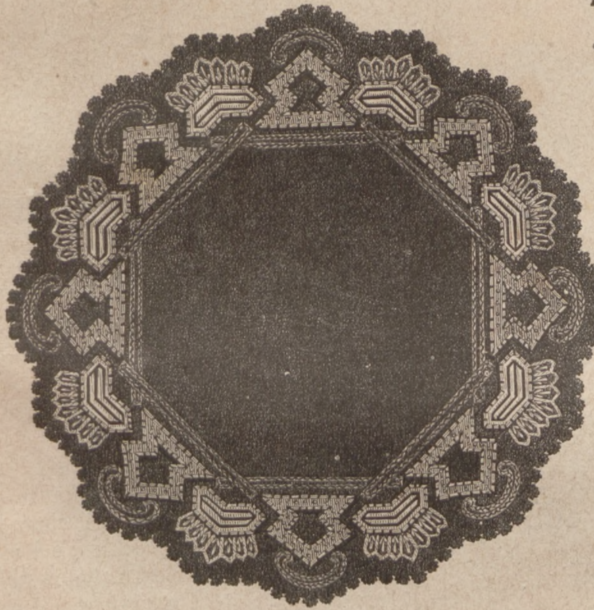
N. 20—21. Opis na arkuszu z krojami.

N. 22. Okrągły kapelusz z czaplemi piórami dla młodej panienki.

Czarna morowa wstążka otacza w przepięciach wysoką główkę, okrągłego kapelusza aksamitnego z wywiniętem rondkiem, z boku związana jest w węzeł z pod którego spadają długie końce. Czaple pióro, i czarne skrzydełko dopełniają przybrania.

N. 23—28. Opisy na arkuszu z krojami.

Opis do N. 52.



N. 30. Patarafka. Aplikacja. Patrz ryc. 31—32. pod lampę.



N. 34. Patarafka malowana na drzewie.



N. 33. Patarafka. Haft na tekturze bronzowéj.

N. 1. Ubranie salonowe z wolantami i pelerynką. Forma spódnicy niepowłóczystej na arkuszu dodatkowym Numer VI. Fig. 18—22. Suknię taką odrobić można zarówno z lekkich jak wełnianych gładkich, lub pasowanych, materjałów. Model jest z białego muślinu, na kolorowem podwleczeniu; w miejsce tiuniki naszyte są na spódnicy 4 szerokie wolanty, zakończone szerokiemi obrębami nad któremi dany bogaty haft. Węższy wolant naszyty jest na gładkim staniku, w kształcie chusteczki, krzyżującej się z przodu i stanowiącej długie szarfy z tyłu. Kokardy, pasek i naszycie na chusteczce i rękawach jest z pięknej wstążki, tego co podwleczenie koloru.

N. 2. Ubranie wizytowe z aksamitną polonezką. Krój tej ostatniej jak do ryc. 36 w Nrze 48.

Z przodu na guziki zapinana czarna, aksamitna polonezka, obłożona jest futrem i przybrana z przodu, oraz na wcięciu w pasie bogatem szmuklerskiem szamerowaniem. Mufka aksamitna obłożona futrem i przystrojona kokardą z długiemi końcami, z szerokiej morowej lub rypsowej wstążki.

N. 3. Chusteczka z muślinu i koronki. Rysunek z przodu do ryc. 28 w N. 51. Krój i opis na arkuszu z formami N. IV fig. 13.

N 4. Suknia powłóczysta przystrojona wolantami i koronką. Krój spódnicy na dodatku N. VI fig. 18—22

Powłóczysta spódnica garnirowana jest w koło dwoma marszczonemi wolantami, przyszytemi plisą aksamitną, nieco ciemniejszego odcieniu. Trzeci wolant dany tylko z przodu zakończa się aksamitnemi kokardami. W miejsce tiuniki przód sukni ubrany jest koronką. Z boków między wachlarzowe ułożenie koronki dodane aksamitne kokardy. Z tyłu przy staniku mała baskina oszyta jest szeroką koronką, szalowy wykrój z przodu węższą koronką stanowiącą zarazem żabot. Ubranie na głowę z koronki i wstążki.



N. 35. Wycięty stanik dla panienki od lat 12—14. Opis i krój na dodatku N. VIII Fig. 27—30.



N. 37. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.



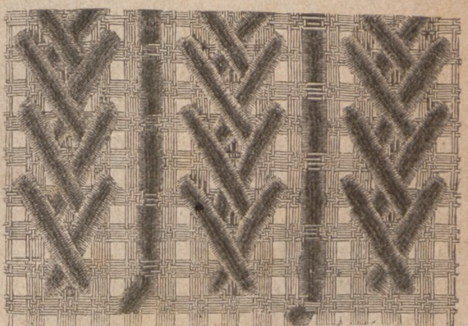
N. 36. Wycięty stanik dla panienki od 12—14 lat. Krój i opis na dodatku N. VIII. Fig. 27 do 30.

N. 5. Ubranie spacerowe dla małéj dziewczynki. Krój paletota jak do ryc. 30 i 31 w N. 48 Tygod. Sukienka wełniana koloru granatowego bez garnirunku, paletot aksamitny okładany futrem. Kapelusz ceratowy z woalikiem spuszczonym z tyłu.

N. 6. Ubranie wizy-



N. 38. Desenik do haftu przewłóczonego czyli pocztowego.



N. 39. Haft sznelką na kanwie. „Filoche"

towe. Spódnica nie powłóczysta. Suknia z szafirowego Lastyngsu, garnirowana jest gładko naszytemi zębami 7 i 20 cent. szerokiemi, wycinanemi i obejmowanemi skośną pliską. Nad podwójnem naszyciem zębów u dołu spódnicy, dodana jest riusza 10 cent. szeroka, środkiem na sznureczek zmarszczona i w rurki ułożona. W drugim rzędzie zęby z przodu są tylko raz naszyte, na tylnych zaś brytach odwrócone w dwie strony i przedzielone plisą 7 do 8 cent. szeroką, czarnym sutaszem wyszywaną. Tiunikę stanowi tylko jeden brycik przedni, mający 50 cent. górnéj 108 dolnéj szerokości, 54 środkowéj, a 40 boczněj długości, który jest oszyty zębami i plisą, podpięty z boków i na spódnicy przyszyty. Z tyłu drugie naszycie odwracanych zębów i plisy zastępuje tiunikę. Odpowiedni garnirunek dany jest przy staniku z baskiną i rękawach. Kokardy ze wstążki morowej lub repsowéj.



N. 40—41. Dwie suknie dla panienek od 10—14 lat na wieczorki lub lekcje tańca.
N. 40. Suknia z pelerynką muślinową. N. 41. Suknia z vêtement muślinowem.



N. 42. Ubranie dla chłopca.



N. 43. Ubranie dla dziewczynki.

N. 7. Suknia jedwabna z muślinowem vêtement. Do sukni powłóczystéj jedwabnéj bez garnirunku, dodane jest vêtement muślinowe z haftowanemi falbankami, ubierane czarną aksamitką. Przedni jego bryt stanowi rodzaj fartuszka poprzecznie ułożonego w bufy przedzielane aksamitkami; takież bufy dane z przodu na staniku i przy szerokich otwartych rękawach, do których dodane prócz tego aksamitne wyłogi. Głowa ubrana różami i aksamitką.

N. 8. Suknia z pół wyciętym stanikiem. Przy wyciętym staniku dodane upięcie z jedwabnéj krepy tego co suknia koloru, zachodzące dość wysoko i zakończone oszyciem z białéj marszczonéj koronki. Jedwabna kolorowa powłóczysta suknia, może być bez żadnego garnirunku.

9. Suknia z powłóczystą, zaokrągloną tuniką. Krój i opis tuniki na dodatku z formami N. VII Fig. 23—26.

Suknia z trenem niebieska jedwabna, ma spódnicę gładką, a tiunikę, stanik wycięty i baskinę dodaną do paska, garnirowane w zęby wyciętą falbanką, 12 centy. szeroką, nad którą dana 6 cent. szeroka bufa i 2½ centy. szeroki fałdowany nagłówek.

Garnirunek ten przy baskinie powinien być stosownie zwężony. Fałdowana chusteczka z tiulu iluzjowego zapina się z przodu bukietem z takich samych kwiatów jak przy głowie. Do krótkich jedwabnych, bufowanych rękawków, dodane długie, wązkie, z fałdowanej iluzyi.

N. 10. Suknia ubrana kokardami. Cały przód sukni tarlatanowej jest podłużnie plisowany, tylne zaś bryty garnirowane falbankami. Stanik w połączeniu z tarlatanem i kokardy dodane przez całą długość przodu, są z kolorowej mory.

(Dokończenie na arkuszu, gdzie spis rzeczy).



N. 45. Beduina szalowa (Hyde-park) Plecy do ryc. 44.

N. 44. Beduina szalowa (Hyde-park) Przód zobacz ryc. 45 i 41

N. 46 Beduina szalowa (Hyde-park) Plecy do ryc 44

KORESPONDENCJA.

Pani Sabinie B. i Panu I. rs. 3 i rs. 1 wręczono biednéj, chorej i wiekiem obarczonej Bulińskiej, matce zmarłego artysty dramatycznego. — Adres jej mieszkania N. 20 Ulica Nowolipie.